№ 8. Warszawa, dnia 19 (7) Lutego 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Wyczerpany numer 3 Prawdy dostarczymy abonentom dopiero po przedrukowaniu za tydzień.

BŁĘDNE KOŁA.

III.

Trzeci odłam dawnej Polski, nasze Królestwo znajduje się w zupełnie innych warunkach niż Poznańskie i Galicya. Obie te prowincye zagraniczne, nie tylko oparły swoje życie na zasadzie bezwzględnie zachowawczej, ale nadto sprzymierzyły się z najwstecznieszymi żywiołami germańskimi, które im w tej sprawie zaofiarowały najskuteczniejszą pomoc. I u nas wystąpiła taż sama zasada, chociaż bez tego związku. W Rosyi bowiem niema takiego stronnictwa, jak niemiecki *środek* Izby lub austryacka *partya prawa*, któreby, jeśli nie z przekonania, to z własnego interesu popierało polaków. Przeciwnie konserwatyzm rossyjski dotąd był względem nas nieprzyjaznym. Zarówno kierownicy spraw publicznych, jak i kierownicy opinii, którzy w własnej ojczyźnie urzędownie i prywatnie wskrzeszali „dobre dawne czasy," względem nas występowali zawsze nieprzyjaźnie. Nie możemy tu przed oczyma czytelników przesuwać długiego szeregu strąconych już dziś figur,—które w imię wszystkich godeł konserwatyzmu nie pozwalali nam konserwować nawet tego, czego za życia pozbyć się nie mogliśmy; wystarczy zastanowienie się nad głównymi upustami przekonań narodu — nad pismami. Tu stosunek wyskakuje z wielką wyrazistością. Wszystkie bez wyjątku organa skrajnej zachowawczości rossyjskiej są jednocześnie organami nieprzyjaźni ku polakom. *Mosk. Wiedomosti*, *Nowoje Wremia*, *St. Petersb. Wiedomosti*, *Gołos* (z dawniejszej daty) — wszystkie te dzienniki były lub są wulkanami polakofobii; natomiast *Siewiernyj Wiestnik*, *Russkaja Prawda* (dziś nieistniejące), *Mołwa*, *Wiestnik Jewropy*, *Poriadok*, *Gołos* (nowego stylu), *Strana*, *Niedela*, *Nowosti*, *Moskowskij Telegraf*, *Zaria*, i inne liberalne gazety, jeśli nie okazały nam przyjaźni, to co najmniej nie wysuwały szpon. Wnioskować wolno, że opinia wyrażona w tych dwu rozłamach prasy jest odbiciem usposobień dwu odpowiednich im żywiołów w społeczeństwie. A w takim razie fakt zupełnego braku jakiegokolwiek powinowactwa bodaj interesów między dążeniami naszemi a konserwatyzmem rossyjskim jest niezawodnym. Nie widzieliśmy też w stosunkach obu społeczeństw najdrobniejszego z tej strony zetknięcia lub zbliżenia.

Nie o to wszakże nam w tej chwili idzie. Dziś pragniemy tylko zaznaczyć, że to przymierze polaków, jakie zauważyliśmy w Poznańskiem i Galicyi, u nas nie istnieje. Jeżeli więc wytworzył się nadmierny konserwatyzm, to w nim nie przyjął udziału żaden związek zewnętrzny, lecz czysto wewnętrzny popęd zachowawczy. I u nas, jak u zagranicznych naszych braci, chociaż w zmniejszonej mierze, na czele całego życia stanęła zasada pielęgnowania wszystkich znamion swojskich, bez rozbioru i wyboru. Jakkolwiek przekonanie wskazuje nam inną drogę, nie odwracamy się od tej z lekceważeniem. Matka, która straciwszy wiele dzieci, drży o życie pozostałych i nie pozwala im nawet odetchnąć świeżem powietrzem, może w oczach naszych postępować błędnie, niehygienicznie, ale trudno jej odmawiać przywiązania i troskliwości, trudno nawet nie uznać, że nieraz zapewnie uchroniła wątłe istoty od rzeczywistego niebezpieczeństwa. Podobnie rzecz się ma z konserwatywnem kierowaniem naszego społeczeństwa. Nie przeczymy, że staranne przechowywanie wszystkich tradycyjnych stosunków i pojęć jest dowodem szczerej dbałości o dobro ogółu, że go ustrzegło od wielu niepożądanych skażeń i niebezpieczeństw. Zachodzi tu jednak znowu pytanie, czy tego rodzaju hygiena nie osłabia sił i nie pozbawia nas bardzo ważnych dorobków cywilizacyjnych, wzbogacających i dających skuteczne środki w walce o byt? Poprzednią odpowiedź na to pytanie musimy powtórzyć i w zakresie naszych najbliższych stosunków. Nie twierdzimy, ażeby żywioły, wodzące rej w naszem społeczeństwie, nie oddawały mu pewnych usług, ażeby życie nasze było przez nich zamknięte dla wszelkich prądów odżywczych, sądzimy tylko, że bez poważnych szkód nie możemy kręcić się jedynie w błędnem kole tradycyi i pominiemy przyspieszyć nasz ruch postępowy. Wszystkie zdobycze wiedzy ludzkiej, wszystkie świeże tchnienia uczuć mogą przepływać przez życie nasze, nie topiąc i nie unosząc z sobą ani jednej z jego podwalin. Jeżeli, spojrzawszy za siebie, cieszymy się rozwojem, nie złorzeczymy wzbudzonej przed sobą; nie przeklinajmy tego dziś, co błogosławimy wczoraj. Z dumą wspominamy o tem, żeśmy w przeszłości nie opóźnili się lub nawet wyprzedzili innych; niechże ta duma nie odstępuje nas w pracy teraźniejszej. Wszystko, cokolwiek czytelnik przy tych słowach przeczuwa dośpiewuje sobie w duszy, słyszymy dobrze. Wiemy, że warunki obciążają szybki rozwój społeczeństwa; że między jego pragnieniem a możnością otwierają się często nieprzebyte przeszkody; ale wiemy również, że mniejsze brzemię mamy ponieść w przyszłość, niż dźwigaliśmy dotąd. Sądząc z pozorów albo z tych faktów, które się najbardziej rzucają w oczy, należałoby mniemać, że i my znajdujemy się na rozdrożu dwu kie-

runków, z których jeden, w postępie, prowadzi do śmierci swojskości, a drugi, w konserwatyzmie, do śmierci cywilizacyjnej. Tak wszakże nie jest, i jakkolwiek radzibyśmy rodaków naszych z zagranicy widzieć zdążających bezpiecznie ku największemu rozkwitowi, zdaje mam się przecież, że w szczepie polskim nasza gałąź przeznaczona jest do najbujniejszego rozrostu. Pozostaje nam więc nie błędne koło, w którem nieraz wirujemy przerażeni niebezpieczeństwami raźniejszego ruchu, ale ciągły, żadnej dziedziny życia nie omijający postęp. Winien on zaś być tem bardziej wytężony, że musimy w nim zarobić nietylko na wyżywienie własne, lecz i tych, którzy nie mają lub nie mogą zapracować dla siebie.

A. S.

SPOŁECZNA WALKA O BYT.

(IRLANDYA).

Odgłosy krwawych starć i rozruchów w Irlandyi dochodzą nas od kilku miesięcy, a dym pożarów przeciska się do nas po przez łamy dzienników europejskich. Straszna liga ziemska gospodaruje piekielnie na Zielonej Wyspie. Sądy jej wydają wyroki w ostatniej instancyi, a członkowie wykonywają je bez najmniejszej litości. Skazany na zagładę lord pada z ręki nieznanego farmera, członka ligi, a rodzina jego z całą swą siedzibą—odcięta od komunikacyi z resztą świata, pozbawiona środków żywności, których nikomu pod karą śmierci dostarczyć jej nie wolno, sług, którym jej służyć zabroniono, słowem *zboicottyzowana*—uledz ma powolnej i straszej śmierci głodowej. I przyjdzie ona niezawodnie, jeśli z pomocą nie nadciągnie oddział regularnych wojsk Jej Królewskiej Mości, nie sprowadzi z sobą pożywienia i srodze dotkniętemu dworowi nie przywróci stosunków z resztą świata. Gdyby nie data na kalendarzu, wskazująca r. 1881, sądziłbyś niechybnie, iż odżyły średniowieczne *vehmgerichty*, przed których wyrokiem nikt ujść nie zdołał. Smutne opisy nurtujących Irlandyę zawichrzeń napełniają prassę europejską, a pełne grozy czyny ligi ziemskiej wywołują oburzenie w parlamencie angielskim, który decyduje się nareszcie zawiesić *Habeas corpus-act*—prawa, poręczające swobodę osobistą... wichrzycieli. Oburzenie parlamentu i dzienników angielskich udziela się reszcie prassy w Europie. Francuska — mało się zajmuje sprawami zagranicznemi, a niemiecka— nie znajduje dość słów potępienia dla mordów i rozbojów, jakimi przerażeni są... lordowie angielscy. Nie wnika ona w istotę stosunków rolnych w Irlandyi, i zgóry, bezwzględnie zajmuje wrogie stanowisko wobec nieszczęsnego ludu, któremu głód i rozpacz podaje oręż do ręki. A my... My tłomaczyliśmy i tłomaczymy dalej wycieczki gazet niemieckich, nie zastanawiając się bynajmniej nad całą bezmyślnością podobnego postępowania. Cieszymy się, jak rodowici anglicy, że nareszcie parlament Jej Król. Mości zawiesza *Habeas corpus*; odczuwamy rozkosze... lordów, którym tylko własne życie jest miłe; śmiejemy się i uznajemy słuszność postępowania *speakera*, marszałka angielskiej izby gmin, który pozbył się ostatnio opozycyi, wyrzuciwszy trzydziestu i sześciu posłów irlandzkich — *obstrukcyonistów*— za drzwi odwiecznego, nietykalnego parlamentu; za anglikami i służalczymi niemcami wygłaszamy nadzieję, że przecie uspokoi się Zielona Wyspa, a porządek i bezpieczeństwo zapanują znowu na pociechę kilkudziesięciu lordów... Na głos samodzielny nas nie stać.

Czy środki wyjątkowe, do których się tak pochopnie uciekł rząd angielski, uspokoją lud irlandzki? Niewątpliwie, ale na czas krótki tylko. Przytłumiony ogień wzbije się niedługo z stokroć większą siłą, a pozornie przywrócony spokój w Irlandyi drogo wypadnie okupić rządowi angielskiemu. Całe pokolenie ludzkie oddziela nas od chwili, w której zmarły przed dwoma tygodniami, głośny historyk Tomasz Carlyle rzucił w twarz prawodawcom angielskim straszne dla nich wyrazy: „Doprowadziliście do tego, że będziecie musieli albo zaspokoić lud irlandzki, albo wyrżnąć go do nogi!“ Wyrzut to i groźba. Pierwszy nie odniósł skutku, druga — spełnia się nieubłaganie.

Przypatrzmy się przyczynom, które wywołały nieszczęsny stan Irlandyi, a przekonamy się, o ile zaradcze środki, uchwalone przez rząd angielski, zdolne mu będą zapobiedz.

Irlandya ulega dziś losowi Grecyi i Rzymu. W historyi pewne przyczyny wywołują pewne następstwa, a konsekwencya dziejowa jest nieubłagana. Demokracya nowoczesna idzie śladem starożytnej. Rewolucya francuska sądziła, że dość jest znieść urządzenia i zabytki przeszłości, które złożyły się na niewolę i nędzę ludu, aby mu zapewnić wolność i szczęście; przekonana była, że niszcząc kasty i przywileje, wpisując na swe znamiona godło równości przed prawem, reformuje świat cały z grunty. Zreformowała go niewątpliwie, ale zreformowała jednostronnie. Rozwiązała zagadnienia polityczne, społeczne zaś pozostawiła nierozstrzygnięte. Jak pogodzić bezwzględną swobodę z obecnym porządkiem społecznym, jak utrzymać nierówność warunków, uznaną za niezbędną, obok równości politycznej, ogłoszonej przez wielką rewolucyę — oto wielkie pytania, na które społeczeństwa nowożytne odpowiedzieć muszą.

Z jednej strony przyznano ludziom równość wobec prawa, obdarzono ich prawem głosowania—co pozwala tłumom wybierać prawodawców, więc tworzyć prawa. Z drugiej — ekonomiści powtarzają im, że źródłem własności jest praca, a tymczasem obecny ustrój przekonywa ich, że nie zawsze ci, którzy pracują, posiadają. Skoro dalej stanowią większość, któż im przeszkodzi użyć swojej przewagi na wprowadzenie zmian w prawach, rządzących podziałem bogactw; któż im zabroni zastosować w praktyce słowa św. Pawła: „qui non laborat nec manducet?“ pyta belgijski myśliciel.

Arystoteles głosił, że wolność i demokracya nie mogą istnieć bez równości warunków, a prawodawcy greccy chcąc

---

MARKIZA.

— Panno!... Sabina!... gotowe?

— Gotowe—rzekła szwaczka, odgryzając nitkę od kokardy, którą pospiesznie zszywała dla przypięcia do *markizy*, pysznego kostiumu, w którym czterdziestoletnia hr. Y. z hr. X. miała olśnić Warszawę na balu w Ratuszu.

Ubranie było gotowe. Zawieszono je na drewnianej figurze a wszystkie magazynierki, sklepowe i szwaczki odstąpiły zdala, ażeby się przypatrzyć temu arcydziełu sztuki modniarskiej, które miało sławę zakładu Ludwika podnieść do nowej potęgi. Ze zdumionych ust nie wyrywały się nawet słowa uniesień— tak wszyscy olśnieni byli widokiem i pewni doskonałości roboty. Nareszcie śród uroczystego milczenia Sabina, która jako podrzędna szwaczka w przygotowaniu markizy nie brała żadnego udziału i tylko w ostatniej chwili powołaną była do zszycia małej kokardki, szepnęła nieopatrznie:

— Ta kokardka za wysoko.

— Możesz panna przyczepić sobie niżej— rzekł gniewnie p. Ludwik, który z dumą spoglądał na markizę.

Modniarki się rozśmiały, Sabina zaczerwieniona odeszła na górę do szwalni, uciekając przed dalszym ciągiem dowcipów pryncypała, który drwiąco wołał:

— Głupia kura, ona będzie upinać pawiowi ogon. Zapakować kostium, sam odwiozę.

Znalazłszy się śród koleżanek, szwaczek niższego rzędu, Sabina zaczęła im cuda opowiadać o markizie.

— Materya prawdziwie liońska, a jakie koronki! To wszystko będzie posypane drobnymi brylantami, których hrabina ma podobno jak grochu. Pod szyję będzie zapięta guzem brylantowym, jak orzech turecki.

Przy tem opowiadaniu szwaczki tylko klaskały językami z zachwytu, wypytując koleżankę o coraz nowe szczegóły. Ta, gdy jej zbrakło materyału, zaczęła im domyślnością kreślić fantastyczny obraz hrabiny, która, według niego, winnaby wyglądać w Ratuszu, jak kopalnia Golkondy.

Nadszedł wieczór. Sabina wraz z innemi wyszła do domu, kończąc jeszcze na schodach bajkę o markizie. Przed bramą czekał na nią młody litograf, który ją codziennie odprowadzał do domu. Nie była ona piękną, owszem miała pospolite grube rysy, wielki pałkowaty nos, co przy niskiej i niezgrabnej postaci szczerze nikogo zachwycić nie mogło. Ów litograf przyczepił się do niej dlatego zapewnie, że do innej przyczepić się nie mógł, a ponieważ była wierna, niezmiernie poczciwa, pozwalała się nietylko bałamucić ale nawet pieniężnie wyzyskiwać, więc jej nie opuszczał. Ile razy odebrała swoją pensyę, musiała mu pożyczyć bodaj kilka złotych, których nigdy nie oglądała i za które kochanek przynosił jej jedynie czasem jabłko lub kawałek owsianego cukru. Tego wieczoru miłość jego potrzebowała widocznie zasiłku, bo zaraz po przywitaniu spytał Sabiny.

— Nie masz tam z parę groszy?

— Jak Bozię kocham, ani szeląga — odrzekła szczerze. Ach, żebyś ty widział, jakąśmy dziś zrobili markizę na bal kostiumowy!

— Co mi djabli po waszej markizie — oburknął się litograf.

— Cała z koronek, brylantami wysypana.

ją zabezpieczyć, ustanowili: niezbywalność dziedzictw, ograniczenie spadkobrania, własność kolektywną lasów i pastwisk, uczty publiczne, *sussitia* i *copis* i t. d. Pomimo to wyrodziła się nierówność, a wzrost jej doprowadził do walki społecznej, do walki dwu wrogich sobie klas: bogatych i ubogich. Ostatni, korzystając z swych praw politycznych, zapewniali sobie różne swobody i ulgi: nakładali podatki na bogatych, konfiskowali ich dobra a samych skazywali na wygnanie, umarzali długi i t. p. Bogaci bronili się wszelkimi środkami, uciekając się nawet do broni. Oto źródło nieustannych wojen domowych i zaniku demokracyi greckiej, która legła wreszcie pod ciosem Rzymu.

W starożytnej Romie powtarzają się dzieje Grecyi. Napróżno Licynijusz Stolon i Gracchowie usiłują przywrócić równość warunków podziałem *ager publicus;* z jednej strony rośnie wielka posiadłość, z drugiej— wzmaga się niewola. Miejsce ludu rzymskiego zajmują ubodzy i bogaci, a z walk tych klas społecznych rodzi się despotyzm. *Latifundia perdidere Italiam*—słowa te Plinijusza streszczają cały dramat starożytnego świata.

W naszych czasach walkę tę zaostrzają dwie okoliczności nieznane w Grecyi i Rzymie: jedna, natury ekonomicznej, druga — moralnej. Tam walki klas nie powstrzymywały produkcyi bogactw. Gdy ubodzy i bogaci walczyli na *Agorà*, pracowali za nich niewolnicy. Dziś występują w szranki sami pracujący, i walka toczy się na polu pracy. Jeśli się przeciągnie, społeczeństwo się rozstroi i zuboży. Dalej, starożytni nie znali równości ludzkiej. Niewolnik był dla nich jucznem bydlęciem; dla nas równość jest dogmatem, niewolnik stał się obywatelem, swobodnym pracownikiem, równym największemu bogaczowi; głosuje, wchodzi do parlamentu, a mając za sobą prawo, ewangielię i filozofię — żąda własności. Żądania te, słusznie powiedział Disraeli, przywódca konserwatystów, „są dziś jeszcze lekkim zefirkiem, poruszającym liście na drzewach, ale wkrótce przejdą w uragan nieposkromiony, który wszystko przewróci na swej drodze.“

Grożącej burzy zapobiedz tylko można jednym środkiem: podziałem ziemi między jaknajwiększą liczbę rąk, zaprowadzeniem możliwie wielkiej równości warunków,— twierdzi belgijski ekonomista Laveleye, którego o sympatye socyalistyczne bynajmniej nie można posądzać.

Anglia nie chce pójść za przykładem Rosyi, która wiekowe poddaństwo chłopów odkupiła Ukazem 1861 roku. Dla dokładniejszego zrozumienia dzisiejszego stanu Anglii a więc i Irlandyi, przedstawię tu jaknajkrótszy rys dziejów jej własności ziemskiej i formy, przez które przechodziła, zanim przybrała kształty obecne.

Po podboju normandów, pierwotny ustrój rolny giermański, a więc oparty na *marce* czyli na kolektywnem posiadaniu ziemi, przekształcił się w *manerium* t. j. własność indywidualną różnej rozległości, od jednego do pięćdziesięciu pługów [1]). Nierówność społeczna występuje już bardzo wybitnie. Z najdawniejszych dokumentów anglosaskich przekonywamy się, iż istniała w Anglii klasa włościan przytwierdzonych do roli. Podbój normandzki dokonywa reszty. Własność ulega feodalizacyi, która wywołuje dwa na pozór sprzeczne zjawiska: z jednej strony — zachowanie swobód politycznych, gdyż wobec silnej władzy królewskiej, szlachta dla jej ograniczenia łączy się z mieszczaństwem i kładzie podwaliny systematowi parlamentarnemu, z drugiej znowu—sprzyja szczególnej rozwojowi nierówności i wzrostowi *latifundyj*, wielkich posiadłości, obdarza bowiem panów władzą prawodawczą i sądową. Szczególny ten rozwój ekonomiczny zrodził dziwne skutki — przyniósł rolnikom wolność, ale pozbawił ich własności, i stworzył jak zauważył M. Morier, jedyny w świecie przykład cywilizowanego narodu, w którym własność ziemska wydarta jest z rąk tych, co ją uprawiają. *Enclosures acts* wydawane kolejno od 1710 aż do 1843 r. niszczyły systematycznie drobną posiadłość, i wydzierając ją uprawiaczom włączały do wielkiej własności. Na mocy tych aktów, 7,660,413 akrów czyli trzecią część uprawnej ziemi Anglii (która wynosiła w 1867 r. 25,451626 akrów), odebrano rolnikom prawie bez wynagrodzenia. W r. 1845 lord Lincoln miał prawo twierdzić w parlamencie, że na dwadzieścia wypadków w dziewiętnastu najmniej nie uwzględniano praw chłopów, nie przez wrogie usposobienie, ale przez nieświadomość. Nie mieli oni pieniędzy na opłacanie adwokatów, którzyby ich praw bronili przed komisyami prawodawczemi, a o swem wywłaszczeniu dowiadywali się dopiero, kiedy *enclosure*, wzniesiona na mocy uchwały parlamentu, wzbraniała im dostępu do ziemi, której używali od czasów najdawniejszych. Czego dawniej dokonywano na drodze prawodawczej, dziś robi się za pomocą kupna i sprzedaży. Wielkie majątki wzrastają, drobna własność upada ostatecznie. Podczas gdy w r. 1688, podług Grégory'ego Kinga, Anglia posiadała 180,000 właścicieli, nie licząc w to 16,560 szlachty, a w r. 1786 było ich jeszcze 250,000, najświeższa statystyka wykazuje ich nie więcej jak 30,760. Całe prowincye stanowią własność pięciu lub sześciu osób. „Czy wiecie, powiedział John Bright, w mowie swojej wygłoszonej w Birmingham 27 sierpnia 1866 r., że połowa ziemi angielskiej należy do 150 osobników? Czy wiecie, że połowa ziemi szkockiej jest własnością 10 czy 12 osób? Czy wiecie, że monopol własności ziemskiej staje się coraz bardziej wyłącznym?“

Zatem w Anglii, jak w Rzymie wielka posiadłość pochłonęła małą, a porządek społeczny zagrożony jest tak samo, jak w rzymskiem imperium.

Jeżeli tak smutno przedstawia się położenie własności w Anglii, do której należy hegemonia w połączonych królestwach, to cóż dopiero powiedzieć można o Irlandyi, kraju bądź co bądź podbitym, dla którego szczególniejszych sentymentów Anglia nie żywi. Jak potworny stosunek wytworzył się w tym nieszczęsnym kraju, dość powiedzieć, iż właścicieli ziemskich liczy on: anglików 1,443, posiadających przeszło milion hektarów ziemi, i krajowców 5,000, którym sprzedano grunta kościelne na trzy-

[1]) Jednostką miary ziemi w czasach owych była jej rozległość, możliwa do uprawienia jednym pługiem.

— Nie mogłaś złapać jednego? spytał z uśmiechem.

— Kiedy nie widziałam — odrzekła naiwnie. Biednemu na takie rzeczy nawet popatrzyć nie wolno. Taka pani więcej zgubi, niż my przez całe życie mieć możemy.

— A co myślisz, żeby tak wziąść na loteryę!

— I wygrać — ba!

Tak zajęci markizą i prawdopodobieństwem wygrania głównego losu, przybyli na ulicę Dobrą. Rozmowa ta widocznie nastroiła litografa romansowo, gdyż namawiał kochankę, ażeby się z nim przeszła po wałach, ale Sabina nakazała spieszyć do domu, bo ojciec „coś miarkuje.“ A ojca jej litograf zawsze się lękał.

Stary Sierpień nie należał nigdy do gołąbków, a od czasu jak mu artretyczne bóle wlazły w rękę i położyły do łóżka, stawał się nieraz dla żony i dzieci okrutnym. Tego wieczoru musiało go silniej „drzeć,“ bo zaraz na progu powitał córkę wymysłami.

— Ja ci spacery ze łba wykarzę! Kiedy robota skończona, do domu, bo tu sług nie ma. Matka poleciała myć podłogę, mnie drze, dzieci głodne, a ona zęby suszy na ulicy do chłopów.

— Toć ja idę prosto z magazynu — tłomaczyła się Sabina.

— Stul gębę, bo ja wiem, ile to się idzie bez *telegrafa!*

Tak Sierpień nazywał kochanka Sabiny. Zrzuciwszy okrycie, zaczęła krzątać się po suterenie i szeptać z młodszą dziesięcioletnią siostrą oraz malutkim bratem. Cała ta jednak krzątanina do niczego nie doprowadziła, bo trzem gębom należało dać jeść, a nie było co. Matka miała przynieść z miasta mąki na kolacyę, tymczasem dotąd jej nie było. Sierpień, co raz bardziej rozdrażniony, klął i wymyślał. Nareszcie wpadła zasapana stara.

— Sabinko — zawołała — masz tu drzewo, rozpal ogień, kupiłam kartofli i śledzia.

Przygotowana do kolacyi ułagodziły nawet zrzędnego robotnika, który zapytał łagodnie córki.

— Co tam u was?

— Skończyliśmy markizę dla hrabiny — odpowiedziała Sabina.

— Cóż to za wilk?

— Kostium z koronek, materyi, brylantów.

— Brylantów — powtórzył Sierpień — i dużo tego tam było?

— Pewnie z garść.

— Ot masz, a żeby tak biedny człowiek, co nie ma na grzbiet kawałka barchanu, wyciągnął rękę, to by w nią kamienia nie włożyli.

— Nie bądź głupi — wtrąciła żona — ty chcesz, ażeby hrabina tak się odziewała jak rzemieślniczka.

— Wystarczyłoby i dla niej i dla ciebie— mruknął stary.

Kolacya rozproszyła resztki chmur z widnokręgu ubogiej rodziny, na który weszła i dzięki wymowie Sabiny wspaniałymi promieniami zaświeciła markiza. Zwłaszcza stara Sierpieniowa i młodsza jej córka słuchały z wielkiem zajęciem opowiadania szwaczki, która cerując zabłocony, z nogi zdjęty trzewik prunelowy, snuła je niezmordowanie.

— Jutro znowu się rozleci — rzekła wreszcie ciszej ze smutkiem Sabina — nie wiem, czy tydzień przechodzę. I pończoch nie mam... Ach mój Boże, zkąd tu wziąść na to wszystko; ani zarobisz, ani pożyczysz, ani ci dadzą...

— Mnie już głowa pęka — westchnęła

dziestoletnią spłatę. Muszę zwrócić uwagę, iż cyfry te niezupełnie są jeszcze wiarogodne i zapewnie znacznie przesadzone, albowiem poczerpnięte są ze sprawozdania o stanie własności ziemskiej w Irlandyi, napisanego przez stowarzyszenie, które z obawy zemsty ligi agrarnej wolało zasłonić się bezimiennością (*Journal d. Economistes.* 1881 ze stycznia). Przypuśćmy jednak, że są prawdziwe, i porównajmy tę cyfrę 6,443 właścicieli z liczbą 868,558 (jeżeli nie więcej) dzierżawców i wyrobników rolnych, dodajmy do tego, że żadne prawo nie reguluje stosunku właścicieli do dzierżawców, lecz wszystko jest pozostawione obustronnej ich umowie, zastanówmy się nad przewagą pierwszych, na których łaskę i niełaskę są wystawieni, uwzględnijmy uczucia dzierżawców, siedzących na skonfiskowanej im i ojcom ich ziemi, a będziemy mieli przybliżony obraz miłych stosunków w Irlandyi.

Czy wobec powyższych cyfr i faktów można się dziwić ruchom społecznym, gwałtownym niezaprzeczenie, ale nieuniknionym i zasadnym? Czyż bille Forsterów, Gladstonów i innych liberałów (?) angielskich usuną złe? Czy zawieszenie *Habeas corpus* stłumi na zawsze od wieków rozniecany ogień? Nie.

Irlandya i Anglia cała, jeśli się chce ustrzedz grożącego jej kataklizmu społecznego, musi się uciec do środków radykalniejszych. Ocalić ją może tylko obdarzenie jaknajwiększej ilości mieszkańców własnością ziemską, naśladowanie w tym względzie innych krajów, które uwłaszczyły miliony chłopów. Czują potrzebę podobnej reformy ekonomiści; tylko jedni z nich utrzymują, iż nadana, drobna własność ziemska nie wytrzyma konkurencyi posiadłości większych, a uwłaszczeni włościanie prędzej czy później będą zmuszeni do pozbycia się na rzecz ich swych udziałów; drudzy znowu, uznając w zasadzie potrzebę stworzenia drobnej własności, zwracają uwagę na to, że stworzyć jej nie może ani wdanie się państwa, ani akty prawodawcze. Tworzy ją, podług nich, oszczędność, umiarkowanie, urodzajność gleby, nieliczne rodziny, praca niezmordowana, a te przymioty, niestety, nie cechują irlandczyków. Obawy pierwszych są przesadzone, również jak wymagania ostatnich—nieuzasadnione. Nie widzę, dlaczego mała posiadłość ma koniecznie uledz pod naciskiem większej, podobnie jak nie znajduję przykładu w Europie, aby drobnej własności nie mogły stworzyć akty prawodawcze. Nie szukając daleko — przypominam Rosyę.

Ruchem irlandzkim, prócz rządu angielskiego, zainteresowały się ciała naukowe pierwszorzędnych krajów. Akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu przedstawił odnośny memoryał Henry Reeve, członek korespondent jej z Londynu. Nie potrzebuję dodawać, iż jako anglik i członek zachowawczego stowarzyszenia nie zdobył się na głos niezależny i sprawiedliwy. „Jasnem jest, pisze on, że prawo własności jawnie jest zaatakowane w Irlandyi, i że panuje tam pewnego rodzaju komunizm. Następstwa tego stanu dadzą się wkrótce uczuć: kapitały się skryją, klasy zamożne opuszczą kraj, roboty amelioracyjne zostaną zawieszone, kredyt upadnie, drobny handel ulegnie ruinie, płaca robotników—redukcyi, i niezliczone nieszczęścia spadną na całe społeczeństwo. Podobny stan rzeczy mogła wywołać tylko najzupełniejsza nieznajomość praw porządku społecznego; dodam, że ci, którzy nie umieli przewidzieć i zapobiedz tym klęskom, datującym się oddawna, odpowiedzą za nie przed historyą" (*Journ. des Econom.* 1881, styczeń).

Zapewne, o klęskach tych Henryk Reeve mógłby mówić w czasie teraźniejszym, nie w przyszłym. Najgorsza bowiem klęska, obejmująca wszystkie przez niego wyliczone — wojna domowa wre już oddawna w jaknajlepsze. Zamiast zwalać winę na pokolenia przeszłych prawodawców, dzisiejsi liberalni (?) mogliby, zdobywszy się na odwagę i pewną niepamięć na własne jedynie interesa, ratować to, co jeszcze się da ocalić.

Józef Szyff.

Z FRANCYI.

Nowa ustawa prasowa. — Rozwód. — Praktyczne kłamstwo. — *E pur si muove.* — *Księżniczka Bagdadu.* — Filozofia „dziewiczego bogactwa". — Nowe koryto naturalizmu. — Wspomnienie o Blanquim. — Bez programu. —

W ostatnich tygodniach Francya doznała kilku silniejszych i poważniejszych wzruszeń, przewietrzyła i... przetrzepała kilka starych i przez móle pogryzionych szat publicznego życia. A naprzód ustawę prasową, którą połatawszy i ufarbowawszy, przedstawiono Izbie do zatwierdzenia jako nowy mundur dziennikarski. Bystre oko najbardziej interesowanych dostrzegło w niej odrazu zbyt ciasny mundur napoleoński, który tylko nieco rozszerzono. Ztąd gniewy tych, którym dolega wszelkie skrępowanie lub którzyby chcieli mieć jak najwygodniejsze. Niezależna od tej wygody słuszność wskazuje prawodawstwu francuskiemu w tym kierunku prostą drogę: zupełne wyzwolenie prasy poważnej i uczciwej a silniejsze okiełznanie gorszącej i brudnej. Najwolnomyślniejsi nie zapłakaliby, gdyby zatamowano stawidłem szeroko rozlewający się po Francyi potok obelg, osobistych znieważeń i najohydniejszych mętów. Niedługo zobaczymy, jak na ten przedmiot zapatrują się przedstawiciele Francyi...

Drugą, równie ważną, chociaż nieszczęśliwszą w swem ostatecznem rozstrzygnięciu sprawą był podniesiony i odrzucony rozwód. Odrzucony? w wolnomyślnej Francyi? Smutno pomyśleć. A czyż mamy uszanować praktyczne względy tych, którzy dla niestracenia podkopywanego gruntu, dla utrzymania się przy nowych wyborach, słowem dla uratowania spokoju a może i życia młodego rządu zadali kłam własnym swoim przekonaniom? Bo nie ma wątpliwości, że wiele głosów, rzuconych z lewicy przeciw rozwodowi, było kłamstwem. Dla korzyści politycznych, poświęcono zasadę, która skąpała się już w morzu krwi i łez, która od wieków topiona, ciągle na wierzch się wydobywa

---

matka — ojciec drugi tydzień leży, dzieci bose, całe szczęście, że zima nie bardzo dokucza.

Śród tych narzekań cała rodzina wreszcie zasnęła. Na drugi dzień Sabina wróciła do domu wcześniej niż zwykle. Wbiegła do sutereny wzruszona, z rozradowanem okiem i zarumienioną twarzą. Widok jej tak wyraźnie zapowiadał coś niezwykłego, że nawet Sierpień, który przed chwilą obrzygiwał żonę wymysłami za to, że ani grosza nie zarobiła na kolacyę, umilkł, oczekując jakiejś wielkiej nowiny.

— Aha, co? — nie mówiłam? — Zawołała Sabina wyjąwszy z kieszeni jakiś papier — w *Kuryerze* opisali! Na całym balu najpiękniejsza była markiza.

Sierpniowa otarła oczy z łez i przybliżyła się do córki, dwoje dzieci przybiegło również, stary podniósł się na łóżku. Sabina zbliżywszy się do lampki, zaczęła czytać:

...„Najpiękniejszą była markiza, gęsto brylantami utkana.

Niebo ma swoje gwiazdy, ziemia swoje.
100,000 rs. na jednej sukni!
Mais c'est tout plaisir!
Valois walczy z *Maryą Stuart*, *Chaperon rouge* z *Madame de Lamballe*, tylko z *Marquise* nikt się nie mierzy.
Elle l'emporte sur toutes ses rivales.
Ludwik tryumfuje.
Bal składa hołd królowej.
Cząstka jej dumy i w nasze serca się przelewa.
Okrzykujemy zwycięstwo — wraz z panem Ludwikiem.
Vive la marquise!... la comtesse Y!".

Chociaż to rodzina Sierpienia nic a nic nie zrozumiała z tych okrzyków *Kuryera*, przeplatanych francuzczyzną, którą Sabina odczytywała literalnie, zapał jednak popularnego autora udzielił się widocznie biedakom, bo przez chwilę pozostawali pod wpływem czaru markizy. Pierwszy oprzytomniał Sierpień.

— Djabeł zrozumie, co tam napisano. Nie przynosiłabyś oto takich głupstw.

I odwrócił się gniewnie do ściany, mrucząc.

— 100,000 rs. na jedną suknię, a ty nie masz co w gębę włożyć.

Matka z córką czytały cicho dalej opis innych kostiumów francuskich. Nareszcie Sierpień odezwał się:

— Więc dziś nic nie będzie na kolacyę?

— A no nic — odrzekła jego żona.

Zmęczone słuchaniem dzieci zasnęły po kątach, ojciec również drzemał. Tylko dwie kobiety szeptały z sobą ciągle. Sabina zdjęła trzewik i zaczęła zszywać nową jego dziurę.

— Już jutro chyba mi z nogi zleci. Mniejsza o to.

— Aleś ty robiła przy tej markizie? spytała matka.

— Jakto nie! odparła z dumą Sabina — zrobiłam kokardkę.

Lampka się dopalała, obie kobiety legły spać. Za chwilę było w izdebce ciemno. Tylko księżyc przez małe okienko wrzucał garść bladego światła na *Kuryer*, który francuzkim opisem zbytku możnych nasycał głód ubogich i który pochwalą dla markizy, hrabiny Y. załatał dziurę w trzewiku szwaczki.

„Dobroczynność nasza — czytałem kiedyś — objawia się w nieskończonych formach."

Albož nie?

W. B.

i o pomoc woła. Chociaż przed ołtarzem Izby wolnomyślni posłowie odprzysięgli się od niej — *e pur si muove* — nawet w własnem ich, ukrytem przekonaniu.

Obecne życie Francyi jest omnibusem, kursującym od Izby deputowanych do teatru. Tam ustawa prasowa i rozwody, tu *Nana* i *Księżniczka Bagdadu*. Ponieważ kolega mój rozpisał się o pierwszej z tych sztuk, pozostaje mi druga. Jaka jej treść, w ogólnych rysach zgadnie każdy, kto zna dotychczasową działalność autora. W wieku specyalności Dumas wybrał sobie odrębny do uprawy zagon—dramatyzowaną filozofię „dziewiczego kapitału“, —akuszeryę społeczną. Fakir indyjski, po siedmioletniem wpatrywaniu się w zawiązanie swego brzucha, głupieje. I Dumas, wpatrując się lat kilkanaście w swoją „kwestyę“, wpadł w obłęd. Trudno wyobrazić sobie coś mizerniejszego nad tego filozofa, rozstrzygającego wielkie zagadki za pomocą szczególnego gwizdania swych bohaterów, kręcącego się jak kołowaty baran w jednem kole, bredzącego proroczym głosem z trójnoga, z pod którego wydobywają się odurzające wypary społeczne. Gdyby Dumas chciał pozostać tylko dramaturgiem, byłby jednym z największych pisarzów, ponieważ zachciało mu się zostać filozofem, jest rozśmieszającym maniakem. Poznajmy nowy objaw tej manii.

Królewicz bagdadzki i córka modniarki urodzili bohaterkę sztuki, *Księżniczkę Bagdadu*, którą poślubił prawdziwy francuski hrabia. Młodzi małżonkowie żyli dość szczęśliwie, skutkiem czego stracili cały majątek. Wtedy pani Lionetta otrzymuje propozycyę od pewnego bogacza, p. Nourvady, który ofiaruje jej zbytkowny pałac oraz szkatułkę naładowaną milionem w złocie, na jej cześć umyślnie wybitem, byleby piękna dama przyjęła mały kluczyk, którym może każdej chwili otworzyć drzwi swego nowego mieszkania. Propozycyę tę odpycha ona zrazu, kluczyk wyrzuca za okno; ale Nourvady oprócz obietnic spłacił naprzód wszystkie długi hrabiowstwa, co natchnęło męża podejrzeniem i wywołało ostrą między małżonkami kłótnię. Niesłuszność wymówek oburza Lionettę tak dalece że... odnajduje kluczyk i udaje się do owego pałacu... po co? No, tylko dla zrobienia wyrzutów Nourvady'emu za jego krok śmiały. Hrabia jednak, coraz słuszniej zazdrosny, wyłamuje drzwi do mieszkania zalotnika i wchodzi w towarzystwie komisarza policyi i jego drużyny. Lionetta zrywa chusteczkę, okrywającą jej piękne ramiona, rozplata włosy i przedstawia się oczom wchodzących jak Magdalena, wcale niepokutująca. „Tak, woła, sprzedałam się temu panu, pałac ten jest moim, a oto w tej szkatułce milion w złocie, zapłata moja, z której mogę dać pieniędzy mężowi mojemu... Po nikczemności, jaką spełnił, to tylko pozostaje mu do zrobienia“.

Następuje dziwaczna scena, na końcu której komisarz policyi dowodzi mężowi niewinności jego, cokolwiek za żywej, małżonki, hrabia jednak upiera się przy swojem — i Lionetta zamyśla słowo zamienić w rzeczywistość, t. j. zostać istotnie kochanką Nourvady'ego. Wracajednak do domu... znowu po co? No, dla zapakowania swych rzeczy. Najciekawszem przecież jest to, że w tej wyprawie towarzyszy jej.... Nourvady. Zachodzi wszakże drobny wypadek. Syn Lionetty, nie chce puścić matki, przy pożegnaniu czepia się jej sukni. Zniecierpliwiony Nourvady odtrąca go, dzieciak upadą, a Lionetta rzuca się nagle z wybuchem instynktów macierzeńskich, chwyta kusiciela za gardło (!), wypędza go, i gdy właśnie mąż z przyjaciółmi powraca, wyznaje swą... niewinność — a rozczulony hrabia przyjmując ją w objęcia, mówi:

„Gdy wszystko zawodzi, Bóg ma jeszcze sposoby!“

Przyjaciele płaczą — słuchacze się śmieją. Może nigdy Dumas więcej nie nadużył swych świetnych scenicznych zasobów do rzeczy bardziej skrzywionej w zasadzie. Podejmując raz jeszcze sprawę kobiety uciśnionej przez mężczyznę, chcąc ją obronić przeciw brutalnym napadom zazdrości małżeńskiej, każe jej iść po drodze, usprawiedliwiającej czyny człowieka, którego honor i miłość jawnie lekceważy. Lionetta nie jest uczciwą kobietą, mimo niespełnionych planów Nourvady'ego. Widz czuje, że jak po pierwszym akcie poszła podjąć wyrzucony za okno kluczyk od pałacu, tak później, nie długo może, gdy jej się bieda cokolwiek sprzykrzy, odszuka pogardzone miliony i wróci do szkatułki. Nie kocha ani męża, ani dziecka. Nie zazdrość męża, krzywdząca jej cnotę, była powodem wycieczki do mieszkania Nourvady'ego. Zawiodła ją utajona ciekawość, chęć pozyskania wrażeń, chęć przekonania się, czy istotnie pałac i milion w złocie czeka na jej usługi. Chciała przedsmakiem zakazanego owocu połechtać trochę swą wyobraźnię — a gdy wpadł mąż, ona bez żalu zgodziła się zostać w roli, która jej się ostatecznie wydała powabną. Pomyślmy tylko, jakie pobudki kierują krokami tej kobiety? Spór domowy wiedzie ją do pałacu amatora, wejście męża pobudza do przybrania pozorów upadku, przewrócenie się dziecka rozdmuchuje macierzyńską miłość. Jedna mysz po drugiej rodzi—górę. Taka motywacya psychologiczna jest możliwą tylko w filozofii Dumasa, który, gdy sztuka upadła, czerpie dowody dla swej teoryi z ilości... wizyt, złożonych mu po przedstawieniu przez kobiety.

Szeroka rzeka widowisk gorszących zyskała nowy dopływ w sztuce autora przeróbki scenicznej *Nany*, p. Busnach, który wystawił swoje dziwadło p. t. *Zoe Chien-Chien*. Tu już naturalizm popłynął szerokiem *korytem*, uraczył nas widokiem dziedzińców szpitalnych, i to jeszcze jakich szpitali!—których patronem jest Łazarz święty, ranami okryty, leżący na śmiecisku. Śmiecie też i rany widzimy przez cały ciąg przedstawienia.

Nic mi niewinni czytelnicy *Prawdy*, ażebym ich wprowadzał do tej scenicznej kliniki.

Dramatyczna twórczość francuzów bezładna, krzykliwa, wyzywająca uczucia do walki bez celu, przypomina zarówno w nienaturalizmie Dumasa, jak i naturalizmie lichych naśladowców Zoli—równie krzykliwy i równie ślepy ich socyalizm. Jeden z uczniów Blanquiego, niejaki Ranc, ogłosił w dzienniku *Voltaire* wspomnienia o swoim mistrzu, które rzucają nań wymowne światło: „Jeżeli kto chciał rozgniewać Blanquiego—powiada autor—potrzebował tylko spytać, jakiegoby trzymał się programu na wypadek, gdyby po zwycięzkiej rewolucyi naród powołał go do władzy.

— Mój program, — mawiał on wzruszając ramionami — albo ja wiem, jakiego bym się trzymał. Nic nie wiem, cobym robił — działać będę *stosownie do okoliczności!*“

I ten człowiek chciał Francyę „odrodzić!“

W r. 1870 chciał założyć dziennik p. t. *Odrodzenie*. Pierwszy numer był już gotów, brakło tylko artykułu społecznego.

— Ty, kochany obywatelu, powinieneś napisać — rzekli koledzy do redaktora.

— Bardzo to trudno—odrzekł z uśmiechem—socyalizm znajduje się obecnie w okresie *krytycyzmu*.“

Wygodne słowo dla wszystkich, którzy chcieliby wprowadzić nowy zakon, ale nie wiedzą jaki. Że sami socyaliści już odczuli ujemność tego bezmyślnego rozbijania murów, dowodem publiczne wyznanie jednego z nich Alfreda Naqueta, który powiada w *Independant*, że jeżeli pod socyalizmem należy rozumieć „burzenie, chaos bez kierunku i zasad, kollektywizm i t. d.,“ on z pod tego sztandaru się wyłącza.

Za tym przykładem w swojej dziedzinie powinniby pójść p.p. Dumas, Busnach i t.d. — którzy ze sprawy kobiecej zrozumieli tylko wiarołomstwo a z naturalizmu — tylko życiowe kanały.

B. S.

HENRYK TOMASZ BUCKLE.

III.

Obok swych zasad idealnych, Buckle był człowiekiem nadzwyczaj praktycznym. Umiał dobrze umieszczać pieniądze a przyjaciołom dawał dobre rady finansowe. Za wszystko, co kupował, płacił gotówką i kazał sobie wydawać pokwitowania. Dochód jego roczny wynosił 1.500 funt. szterl. z których około 300 poświęcał na książki. Zarzucano mu wielokrotnie skąpstwo, ale Huth zaprzecza temu. Pewną jednak jest rzeczą, że był oszczędnym, gdy chodziło o rzeczy niepożyteczne, tylko dla tego, żeby mieć więcej środków na ważniejsze potrzeby i na cele dobroczynne.

Dla przyjaciół był wielce usłużnym, ale nie lubił „fałszywej dobroczynności“. Gdy go żebrak zaczepił na ulicy, pytał go o imię i adres a potem chodził po zaułkach i odszukiwał proszącego. „Poszukiwania te nie były nieprzyjemne, gdyż choć dziewięć razy oszukiwano mnie, za dziesiątym, możność wsparcia głodnej rodziny wynagradzała mi całkowicie trudy“. Zresztą śledzenia te nie wiele mu zabierały czasu, gdyż z zasady przechadzał się po 7 mil ang. dziennie, za jednym więc zachodem spełniał kilka spraw różnorodnych.

Skąpym już choćby dla tego nie był, że odrzucił propozycyę pisania do czasopism po 30 rs. za stronnicę.

Buckle był bardzo towarzyskim, rozmownym. Mówił chętnie o wszystkiem.

Mowa jego była błyskotliwą, bez względu na to, gdzie się znajdował. W barazo poufnych stosunkach lubił przeplatać wielkie temata, o których myślał bezustannie, żartobliwością prawie dziecinną. W towarzystwach zachowywał się spokojnie, z prostotą, ale rozmowa łatwo go ożywiała. Wtedy wylewał się obficie dojrzały i poważny umysł. Buckle był więcej rozumny niż dowcipny, więcej czerpał z książek niż z własnych spostrzeżeń. Chętnie zgłębiał każdy przedmiot, ale gdy widział, że interlokatur stoi na zupełnie odmiennym gruncie, porzucał temat i przechodził do świeżego. Często rozmowa jego nudziła niebiorących w niej udziału, gdyż przechodziła w rozprawę. Buckle tak kochał prawdę, że zawsze ją odsłaniał. Nie był przytem pozbawiony pewnej dozy miłości własnej; gdy więc czego zaczął dowodzić, zapominał nieraz, że to innych nudzić może. Cudzych zdań słuchał bardzo cierpliwie i uważnie a względem przeciwnika zachowywał się sprawiedliwie.

W pracy i rozmowach wspomagała go niezwykła pamięć, przypominająca macauleyowską. Recytował nieraz całe ustępy z prozaików angielskich, tak jak inni deklamacye poetów. O poezyi mawiał, że sama wnika w jego umysł. I rzeczywiście dzieła wieszczów angielskich przeszły niejako w jego krew i ciało. Umiał też dużo na pamięć arcydzieł francuzkich, deklamował zaś z takim zapałem, że porywał nawet obojętnych. Pomimo takiej pamięci, nigdy jednak wyłącznie na niej nie polegał. Jużeśmy wspomnieli, że każdą czytaną książkę pokrywał notami na marginesach, a często jej treść w krótkości spisywał. Po otrzymaniu korrekty *Historyi*, porównywał każdą cytatę z oryginałem. Zawsze nosił przy sobie maleńką książeczkę, w której zapisywał daty i zdania szczególnie uwagi godne, i odczytywał je na przechadzkach. Pomimo nadzwyczaj rozległej lektury ustrzegł się chaosu w głowie, i w przeciwstawieniu do tych, których myśli plączą się w mnóstwie faktów, siła jego umysłu wzrastała wraz z ilością przeczytanych książek.

Podczas swych podróży rozmawiał wszędzie z policyantami i nauczycielami ludowymi. Wypytywał się jakie przestępstwa zdarzają się przeważnie w danej chwili, a ponieważ w całej Anglii natrafiał prawie na jedne i teżsame, więc zrobił żartobliwą uwagę, że ludzie „tak mało mają fantazyi.“ Dla poznania obyczajów, chodził po zaułkach wielkich miast i zauważył, że w rubryce „obyczaje“ należałoby zapisywać: „żadne.“ Chciał widzieć własnemi oczyma to wszystko, o czem pisał, — przynajmniej w Anglii. Dla tej również przyczyny po Egipcie miał zamiar zwiedzić Amerykę Północną, Meksyk, Peru, Chili, Japonię Chiny i Indye. Nader charakterystycznym jest jeden fakt z jego wędrówek po Anglii. Jakiś wykształcony nauczyciel ludowy chwalił przed nim nieustraszoność autora *Essays and Reviews* i dodał: „Ale jest jeszcze odważniejszy autor, o którym musiałeś pan słyszeć i czytać jego dzieło, a mianowicie Buckle.“ „Cóż on zrobił?“ zapytał nieopoznany. „Co, nie znasz pan Buckle'a?“ I nauczyciel widocznie tracił szacunek dla nieznajomego interlokutora. „Buckle? — pospiesznie dodał nieznajomy — o tak, zapewne, znam go“ — i odszedł, nie dawszy się poznać swemu czcicielowi. Jakżeż go to wybornie charakteryzuje!

Buckle znał 19 języków lub narzeczy: angielski, niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski. holenderski, duński, rossyjski, szwedzki, flamandzki, waloński, irlandzki, fryzyjski, maoryjski, anglosaski, łaciński, grecki i hebrajski. Pierwszymi siedmioma władał wybornie: umiał nimi mówić i pisać z łatwością. Ostatnie znał o tyle, że rozumiał je bez trudności, co było dla niego rzeczą główną, bo chodziło mu przedewszystkiem o czytanie książek. O wprawne mówienie tymi językami nie dbał, gdyż utrzymywał, że z francuskim można przejść całą Europę. Uważając cudzoziemskie języki tylko za środek do zrozumienia obcej literatury, czytywał dzieła, jeśli tylko było można, w przekładach, albowiem, jak powiadał, wiele się czasu tym sposobem oszczędza, a w razie potrzeby zajrzeć można do oryginału.

Na długi czas przed wystąpieniem na polu literackiem, Bucle był znakomitym szachistą. Wygrywał partyę bez wież i koników. Jeszcze lepiej, według własnego mniemania, umiał grać w wista. Znany szachista Kennedy powiedział: Buckle rozwija fantazyę poety i poddaje się pod rozkazy logiki. W 1851 r. na turnieju szachistów podczas wystawy powszechnej, Buckle pobił wielu znakomitych graczów. Przy tem wszystkiem był tylko dyletantem na tem polu i nigdy się teoretycznym studyom szachów nie poświęcał. Potem już nie chciał przyjmować udziału w popisach, i mawiał, że turniej w 1851 r. zabrał mu więcej czasu i uwagi, niż można poświęcić tak „czczym tryumfom“.

Oto są główne rysy tego znakomitego myśliciela, który długo jeszcze świecić będzie jak wspaniała latarnia na morzu europejskiego dziejopisarstwa. Żaden historyk nie doczekał się tak szerokiej sławy i takiej sympatyi. To też bijografia Hutha, z której tu korzystaliśmy, jest dziełem niezmiernie zajmującem. Bo czyż jest coś ciekawszego nad odsłoniętą w całej wielkości i prawdzie postać geniusza?

R. Z.

TAJEMNICE ŻYCIA DUSZY.

III.

W innem miejscu, w rozprawie o *pamięci*, starałem się złożyć dowody, że — skutkiem wydzielania się z organizmu cząstek, na które zjawiska świata zewnętrznego wywierają ten lub inny wpływ, nadający im możność pamiętania o tem, co się stało — *zapewne* dzięki zmianom, jakie w skutek wrażenia w tych cząstkach zachodzą—sam fakt pamięci jest tajemnicą, niemożliwą do wytłomaczenia w żaden sposób dostępny naszemu rozumowi, chociaż pamięć pomimo to pozostaje faktem, nieulegającym najmniejszemu wątpieniu. Obecnie chcę udowodnić, że wspomniane trudności na tem bynajmniej się nie ograniczają...

Im silniejszy jest zewnętrzny bodziec, tem silniejsze też będzie wrażenie, tem większą musi być praca cząstek, tem większą ich przemiana, zużycie się, a w stosunku do organizmu — tem większy wydatek. Silne wrażenia, podobnie jak wszelka praca, nużą, męczą i osłabiają organizm cały; a jeżeli trwają długo, prowadzą do tego, że on na nie staje się całkiem nieczuły. Jednakże wrażenia nie zawsze odbijają się w całym organizmie; innemi słowy — pewne wrażenie, np. wzrokowe lub słuchowe. odbywa się w pewnem oznaczonem, jednem miejscu mózgu. Wrażenia zatem mogą się umiejscowiać w pewnych tylko okolicach mózgu, gdyż on jest organem, który je odbiera, chociaż znów rzecz pewna, że mogą ogarniać cały organizm. Tak tedy, ażeby wrażenie mogło mieć miejsce, koniecznie odbyć się musi pewna większa lub miejsza praca cząstek mózgu, a przeto i ich przemiana, zużycie się i rozkład w większym lub mniejszym stopniu. Muszę tu nadmienić, że — z pewnego stanowiska — wrażenia mogą być podzielone na dwie kategorye: na *przyjemne* i *nieprzyjemne*, między temi dwoma kategoryami należy umieścić grupę wrażeń *mniej lub więcej obojętnych*, które nie są ani zbyt przyjemne, ani też zbyt nieprzyjemne, ażeby się mogły stać bądź pożądanemi, bądź niepożądanemi. Zapewnie, wrażenia bezwzględnie obojętne prawie nie istnieją; każde bowiem ze znanych nam może być zaliczone albo bardziej do pożądanych, albo bardziej do niepożądanych; jednakże ze stanowiska względnego niewątpliwie można ustalić i tę trzecią, pośrednią kategoryę, która w stosunku do każdego organizmu będzie inną. Każdy organizm ma swe własne upodobania i usposobienia, wreszcie i idyosynkrazye; co dla jednego jest lekarstwem, dla innego może być trucizną. Jeżeli wszakże ustalenie kategoryi wrażeń obojętnych zdaje się być, w skutek przytoczonych przed chwilą powodów, rzeczą trudną, co wcale wszakże nie może być uważane za dowód przeciw ich istnieniu, to już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że takie obojętne wrażenia mogą powstawać i powstają rzeczywiście wówczas, kiedy zaspakajają nasze pożądanie. Człowiek zgłodniały doświadcza na widok jadła wrażeń przyjemnych, sam proces jedzenia sprawia mu także zadowolenie, ale, ukoiwszy głód, zachowuje się już na widok jadła zupełnie obojętnie, gdyż wrażenia, jakie nań wywiera pokarm, którego przed chwilą pożądał, w danej chwili nie robią mu ani przyjemności, ani przykrości [1]).

Silne wrażenia, to jest przyjemne lub nieprzyjemne, zużywają organizm, czyli pracujące cząstki w mniejszym lub większym stopniu. Widzieliśmy jednak przed chwilą, że odebranie wrażenia nie ogranicza się na pracy cząstek bezpośrednio uczestniczących w samym jego procesie (np. wrażenia wzrokowe i ich przyrząd zmysłowy — oko).

---

[1]) „Za normę przyjmuję zjawisko, które przedstawia syty wobec potrawy. W tym razie odruch jest słaby, ruch mięśniowy zaledwie dostrzegalny, (przy sytości absolutnej przyjąć go można równym zeru).“ Sieczenów *Odruchy*, polski przekład, Warszawa, 1873 r., str. 41.

Każdemu wrażeniu towarzyszy odruch. Organizm oddziaływa w skutek wrażenia, odpowiada na nie w ten lub inny sposób, albo dążąc do przedłużenia go i możliwie najzupełniejszego odczucia, albo starając się pozbyć możliwie najprędzej i najzupełniej, odczuć o ile można na najmniejszej powierzchni (np. gęsia skórka, kurczenie się języka po rozgryzieniu kwaśnej jagody, mrużenie oczu przy świetle błyskawicy i tp.). Ponieważ taki odruch następuje zaraz po odebraniu silnego wrażenia, najczęściej zaś jednocześnie z niem, to ostatnie należy uważać za bezpośrednią jego przyczynę, co więcej za sam proces, za ciąg dalszy samego wrażenia. I tak, nie dość, że odebranie wrażenia związane jest koniecznie z wydatkiem organizmu, towarzyszący koniecznie temu procesowi odruch powiększa jeszcze ów wydatek, czyniąc go niekiedy tak wielkim, że następuje zupełne osłabienie, omdlenie, a nawet zupełny nieład we wszystkich funkcyach, prowadzący do drgawek, pomięszania zmysłów, a niekiedy do nagłej nawet śmierci. Z przytoczonych powyżej faktów powziąść możemy przekonanie, że ten wydatek organizmu może być tak znaczny, iż *pracujące cząstki mózgu bywają niekiedy zupełnie zużyte.* Ze strony formalnej można tu postawić następującą zasadę: im silniejsze jest wrażenie, tem większy musi być odruch, tem też większy musi być wydatek organizmu, jako wynik pracy, wyrównywający niekiedy zupełnemu zużyciu pracujących cząstek, albo ich zupełnej przemianie, co ze względu na następstwa jest jedno i to samo.

Doszliśmy do trzech wniosków:

po 1-sze, *im silniejsze są wrażenia, tem też długotrwalszą jest ich pamięć,*

po 2-gie, *im silniejsze jest wrażenie, tem większy jest wydatek organizmu* i

po 3-cie, *im silniejsze jest wrażenie, tem większy musi być odruch, a więc tem większy jeszcze ten wydatek* [1]).

Każdy z tych wniosków, na podstawie faktów, z których został wyciągnięty, jest prawdziwy, to jest zgodny z nimi. Na mocy każdej z powyższych trzech zasad możemy sobie tłomaczyć odpowiednie zjawiska. Ale zestawienie wszystkich ich razem, sprawdzenie jednej przez drugą, prowadzi do przekonania, że nie są one w stanie wytłomaczyć rzeczywistości, którą pozostaje najzupełniej ciemną i niezrozumiałą.

Istotnie, w jaki sposób, na mocy powyższych wniosków, możemy sobie wytłomaczyć fakt, że wrażenia silne, bezwzględne, a przeto koniecznie świadome, słowem że wrażenia, których powstaniu towarzyszy największa praca organizmu, zostają zapamiętywane najlepiej i najdłużej; i odwrotnie, że wrażenia, kosztujące organizm najmniej, na powstanie których organizm wydaje tak mało, że wydatek można uważać prawie za nieistniejący, — prawie nie pozostają w pamięci, a zawsze są nieświadome?

Fizyologia uczy nas, że każda cząstka organizmu obdarzona jest zdolnością pamiętania zewnętrznych na nią wpływów; że każda organiczna komórka posiada tę pamięć, dowodzą tego fakty, zebrane przezemnie w rozprawie o *Pamięci*, do której też odsyłam czytelników moich. Jakże zrozumieć teraz ów fakt, jeżeli rozbiór jego prowadzi do przekonania, że pamięci tej, to jest takiej, jak są sobie wyobrażamy, organizm posiadać nie może? Nie znaczy to wcale, że natura działa źle, nie w ten sposób, w jakiby—według naszego wyobrażenia — działać powinna, ale tylko, że jej nie znamy, nie rozumiemy, że jej działalność jest dla nas tajemnicą. Zgodnie z naszem rozumieniem rzeczy zjawiska, w mowie będące, powinnyby się były odbywać w inny sposób, a mianowicie wrażenia silne powinnyby być zupełnie zapominane, przeciwnie, wrażenia względnej siły i względnego dla duszy znaczenia powinnyby być zapamiętywane lepiej i dłużej od wrażeń bezwzględnych. Tkwi tu sprzeczność, zaprzeczająca wszystkim poprzednim pewnikom razem i każdemu z osobna. Sprzeczność ta prowadzi do przekonania, że istota duszy jest nieznana i że na drodze badania jej, czy to przy pomocy metody fizyologicznej, czy psychologicznej (to jest ideologicznej) — przynajmniej teraz — do wniosków poważnych, prawdziwych, to jest zgodnych z rzeczywistością dojść nie możemy.

(D .c. n.)

Feliks Bogacki.

[1]) Taine ustala jeszcze inną zasadę, a mianowicie, że „wyobrażenie o tyle jest słabszem, o ile jest mniejsza liczba pierwiastków mózgowych, w których odbywa się działanie,“ (Patrz jego *O Intelligencyi*, polski przekład, 1873 r., s. 211 i 245—246), ponieważ według niego: „mózg jest rodzajem gromady polipów, którego wszystkie pierwiastki spełniają jedne i te same czynności“ (ob. str. 241 tamże). Mniejsza o to, czy słusznem jest ostatnie twierdzenie; co do pierwszego, wyobrażenie o rzeczy tem jest pełniejsze, im więcej wrażeń na nie się składa.

Kronika rossyjska.

Pstrokaty obraz i rożnorodność widoków. — Głód samarski. — Rewizye senatorskie. — Proces Koszewarowej-Rudniewej. — Nowy prąd. — Nekrologi. — Miller. — Leszkow.—Pisiemskij. — Dostojewskij.

Wsteczne ruchy i potężne drgnienia, wielkie prądy społeczne i wielkie kradzieże, wstrząsające hasła i najohydniejsze wymysły — wszystko to dziwnie się mięsza w tutejszem życiu. W Rossyi a zwłaszcza w jej północnej stolicy znajdziemy wszystkie stopnie cywilizacyi, od najniższych do najwyższych. Mimo różnic szczegółowych, Paryż, Londyn, Wiedeń, Berlin wyrabiają materyał jednorodny, odznaczony pewnem znamieniem rozwoju i datą swojego czasu. W Petersburgu wszystko jest możliwe. I ludzie, którzy miliony społeczeństwu darować i tacy, którzy mu miliony ukraść zdolni; i ci, którzy ogarniają najszersze kręgi myśli, i inni, którzy niemogą objąć najciaśniejszego jej kółka. Tysiąc najrozmaitszych żywiołów spłynęło do tego kotła, w którym szumią, burzą się, bałwanią i śród tego wrzenia przygotowują jakiś nieznany wytwór przyszłości.

Zależnie od natury tych pierwiastków i sprawozdanie z życia rossyjskiego musi w swej panoramie przesuwać najsprzeczniejsze z sobą widoki. Tu olbrzymi głód i wywołana nim ofiarność, tam rewizye senatorskie, odkrywające szereg złodziejstw; tu potężny ruch nowego prądu politycznospołecznego; tam proces o dziennikarskie rozboje. Zapiszmy świeże fakta, nie kusząc się o powiązanie ich

Gubernia Samarska, chorująca a raczej umierająca corocznie na śmierć głodową, i tej zimy zapadła ciężko. Kilka wyjątków z dziennika d-ra Portugałowa, który pierwszy na gwałt uderzył, objaśni was lepiej, niż wszystkie deklamacye:

„Antoni Sapildin. Rodzina z sześciu osób. Ziemstwo dało $1^1/_2$ puda. Naturalnie zjedli, a teraz od trzech dni nie kładą nic w usta.

Michał Sizow. Niedawno wrócił z wojny, ma u siebie pięć dusz i ani kawałka chleba.

Aleksy Tałambow. Rodzina z siedmiu ludzi. Chociaż ślepy, poszedł w świat. Ziemstwo daje $1^1/_2$ puda. Już pięć dni wszyscy nie jedli.“

Tak wyglądają te „szkice z natury.“ Składki się sypią, rząd dał zapomogę, wotchłani przecież dotąd dna nie widać. Tego wszystkiego nie dosyć — woła prasa. Więc czegóż jeszcze trzeba? Jak zaczną dzienniki na to pytanie odpowiadać, zaraz wychodzą z granic Samarskiej gubernii i odbiegają daleko, daleko! I nietylko w tym jednym wypadku. Od czegokolwiek zaczną, zawsze skończą na „zagadnieniach podstawowych.“

Do tejże mety wiodą prasę inne fakty, a więc i senatorskie rewizye. Wiadomo, że rząd wysłał z szerokiem pełnomocnictwem kilku senatorów do rozmaitych gubernij dla zbadania prawidłowości działania niższych władz. Dość powiedzieć, że wszędzie odkryto straty pieniędzy i nigdzie nie obeszło się bez aresztowań. W samej kijowskiej gubernii oddano pod sąd szesnastu *mirowych pośredników.* Odciągniętą od tych faktów uwagę zajął gorszący proces wytoczony przez znaną doktorkę, Koszewarową—Rudniewą odpowiedzialnemu redaktorowi *Now. Wremieni*, Fiedorowowi, jego współpracownikom: Polikarpowowi i Bureninowi, oraz współpracownikowi *Petersb. Gazety* Batalinowi — za obelgi w prasie. Powodem skargi była pomieszczona w *Now. Wremieni* (1879) opowieść Polikarpowa p. t „Doktor Samochwałowa—Samolubowa,“ w której autor pod tą przejrzystą osłoną zmienionego nazwiska skreślił „z natury“ wizerunek i dzieje Koszewarowej— Rudniewej, zgromadziwszy bądź z osobistych stosunków, bądź z opowiadań całą bezcześć kobiety. Redakcya *Now Wremieni* wydrukowała paszkwil „dla dobra ogólnego,“ a chociaż Batalin w *Peters. Gazecie* uznał, że postąpiła „przepodle,“ uraczył jednak doktorkę na swój sposób. Wywołana przez te dwie napaści polemika stwierdziła dostatecznie, kto był ich przedmiotem. Na tej podstawie adwokat przysięgły Aleksandrow w imieniu R. Koszewarowej wytoczył oszczercom proces, który ich zaprowadził do kozy. Daremnie urażony tem rozwiązaniem organ p. Suworina łży sąd, łży obrońcę, łży prawa ograniczające swobodę (!) słowa, zdrowy zmysł lepszej prasy czuje i wyznaje, że osadzono w kozie nie jej uczciwą wolność, ale zdrożne nadużycie. O zuchwalstwie i opryszczonym języku tego organu nikt nie może mieć nawet przybliżonego pojęcia, kto go się nie dotknął. Nie cofa on się przed niczem i przed żadnem słowem. Nawet ogłaszając wyrok, opatrzył go następującym przypiskiem: „Sprawa ciągnęła się od godz. 12 do 7 z powodu zupełnej nieznajomości prezesa sądu zarówno procedury karnej jak i okoliczności procesu“. Jeśli taki cukierek dostaje się sądowi, to co mówić o obrońcy, o Koszewarowej, o wszystkich, na których wylał się cały upust złorzeczeń, grubiaństw, obelg, oszczerstw, wobec których bledną najjaskrawsze wybuchy szekspirowskich bohaterów. Dla gazety p. Suworina nie będziemy gwałcili zwyczajów naszej prasy i nie powtórzymy tej licytacyi „brani“; bo jak p. Aleksandrow — prezesa, my musielibyśmy przeprosić czytelnika, i jak on usprawiedliwić się wymówką,

że „pomimowoli wpadliśmy w ten język, którym tak często mówią w swych organach ci panowie“.

Śród tych mętów wpłynął do dziennikarstwa rosyjskiego nowy, niezmiernie żywotny i bardzo ważny strumień — małorossyjski. Najsilniej sprawę tę podźwignęli w *Wiestniku Jewropy* (styczeń) Kostomarów i Pypin, za nimi poszły inne pisma, jak *Gołos*, *Zaria* itp., którym drogę w tym kierunku przegrodził naturalnie całą swoją długością i całą siłą *Kijewlanin*. Przedmiot ten wywoła niezawodnie liczne spory, stanie się może jednem z najważniejszych zagadnień bieżącego życia Rossyi. Dziś zaznaczamy tylko jego narodziny, ale powrócimy doń niezawodnie, gdy nieco dojrzeje.

Zarówno krzykliwość nadużyć i dziennikarskiego korsarstwa jak i echa poważnych spraw społeczno-politycznych umilkły na chwilę śród pogrzebowych dzwonów, jakie rozległy się nagle w obu stolicach Rossyi. W ostatnich tygodniach straciła ona kilku ludzi, między którymi znalazły się znaczne umysłowe siły. I dla tego też sprawozdanie nasze musimy zakończyć szeregiem nekrologów.

Zaczynając od cichszych i mniej znanych, winienem wspomnienie Millerowi jako jednemu z przodowników humoru w prasie peryodycznej rossyjskiej. Porzuciwszy zmudną działalność nauczycielską, założył on około 1850 r. pierwszy w Moskwie dziennik humorystyczny *Razwleczenije*, który przez długie lata cieszył się względami, zwłaszcza w sferach średniomieszczańskich, ale ostatnimi czasy niemógł wytrzymać współzawodnictwa ze śmielszymi i ruchliwszymi organami śmiechu i satyry, które bardziej odpowiadały potrzebom oraz gustom chwili. Poetyczne zdolności Millera ujawniły się korzystnie w przyswajaniu utworów obcych, a jego przekład niby-epopei Hamerlinga *Ahaswerus* oraz kilka innych poematów płynie tokiem tak swobodnym i artystycznym, że czytając je nie czujemy wcale mozołu tłomacza. Równie skromnym pracownikiem na polu naukowem był Leszkow, professor uniwersytetu moskiewskiego, znany wśród młodzieży jako „najmilszy Wasili Nikołajewicz“. Epitet ten doskonale charakteryzuje jego cichą a użyteczną działalność naukową i profesorską. Był on ostatnim z dawnych przewodników, stanowił żywe wspomnienie świetnego rozwoju uniwersytetu moskiewskiego z czasów 1840 roku, który stopniowo potem upadał. Przedmiotem wykładów Leszkowa była ustawa o porządku i przystojności publicznej, chociaż w razie potrzeby i braku nauczycieli wykładał i inne przedmioty, jako to: prawo międzynarodowe, a nawet polityczną ekonomię i prawo skarbowe. W nauce zajmował stanowisko bardzo skromne, ale w zakresie swej specyalności pracował sumiennie, starannie, bez wielkiego polotu i oryginalności, ale także bez suchej, archiwalnej pedanteryi. Jako przewodnik młodzieży był jedną z najmilszych osobistości. Odznaczył się także jako jeden z najpilniejszych i najbardziej ruchliwych działaczów założonego w r. 1860 „Moskiewskiego Towarzystwa prawniczego,“ którego był prezesem, oraz głównym redaktorem dziennika. Gdy niemoc fizyczna zmusiła go ustąpić z pola działalności, Towarzystwo wybrało go na członka honorowego, a teraz dla uczczenia pamięci zgasłego pracownika postanowiło utworzyć stały fundusz jego imienia, z którego nagrodę otrzymać mają studenci za najlepszą rozprawę z dziedziny historyi rozwoju samorządu w Rosyi.

Do ludzi, którzy przeżyli epokę żywotności własnego talentu, należał bezwątpienia Aleksy Pisiemskij, w swoim czasie jeden z przodowników literackiego ruchu, pisarz niepospolity, posiadający swoją odrębną kartę w historyi twórczości rosyjskiej. Według utartej a niekoniecznie słusznej opinii, Pisiemskiego nazywano „pierwszym realistą,“ chociaż talent jego nie był tak wyłącznie przedmiotowym, aby zasługiwał na tę nazwę w ściślejszem znaczeniu. Nie był on twórcą, idącym za żywym biegiem wrażeń, ale myślicielem, dążącym świadomie do swego celu, pragnącym ten lub inny objaw życia ukazać w świetle jasno określonej dążności. Jako artysta posiadał bezwątpienia umiejętność wyszukiwania rysów prostych, typowych, stałych, ale dla postawionego z góry celu chwytał często cechy nietypowe, szczegółowe i używa ich dla okazania przewodniej myśli. Działalność Pisiemskiego słusznie rozdzielono na dwa okresy, z których pierwszy był postępowym, drugi zaś wyrażał przeczenie najnowszym prądom rosyjskiego życia. Był on prawdziwym synem pamiętnej epoki 1840 roku, gdy literatura rosyjska pod wpływem nowych prądów filozoficznych weszła na drogę analizy życia i stała się „adwokatem ludu, starając się zarazem być jego wyobrazicielką.“ Wspólnie z pisarzami tego okresu Pisiemskij bronił spraw ludu a w stosunku do wyższych sfer społecznych zajął stanowisko najzupełniej przeczące. *W ciężkiej doli* stał się wymownym rzecznikiem nędzy wieśniaczej, a w romansach: *Bojarszczyna*, *Małżeństwo z młodości*, *Bogaty narzeczony*, *Fanfaron* malował życie obywateli wiejskich w barwach mocno satyrycznych, napełniając te utwory rysami wyłącznie ujemnymi. Na czytelników, szukających przewodniej myśli w powieściach, Pisiemskij działał potężnie a jego romans *Tysiąc dusz* pozyskał wielkie powodzenie i zjednał mu poważne stanowisko w literaturze.

Przedmiot tego utworu stanowi historya fałszywego reformatora obyczajów i nadużyć społecznych, „podrobionego człowieka państwowego“ Kolonowicza, który jest wprawdzie uosobieniem idei satyryczno-społecznej, ale autor dzielnie przeprowadził go wśród stosunków otoczenia, okolił gronem postaci żyjących życiem niepodrobionem. W pierwszym okresie Pisiemskij napiętnował dużo „głów bezwstydnie miedzianych,“ wiele wyprowadził na jaw postaci „bladych i bezsilnych“ i służył istotnym potrzebom swego czasu. W ostatnich dwudziestu latach stał się przeciwnikiem nowych prądów, a jeżeli nie był jawnym stronnikiem wstecznictwa, to nie należał też do jego wrogów. Ujemny kierunek jego twórczości w tym okresie wytworzył romans: *Zamącone morze* (Wzbałamucennoje morie), który jest prawdziwym aktem oskarżenia przeciwko nowym prądom społecznego życia, napełnionym tylko ujemnymi rysami, z pominięciem wszystkiego, co jest zdrowem, dzielnem w nienawistych autorowi dążeniach. W obu jednak okresach swej działalności Pisiemskij okazał niepospolity dar analizy objawów społecznych i psychicznych, a był artystą niezwykłej siły. W gronie znakomitych twórców zajmuje on stanowisko śród tych, którzy nie wyrażali ducha narodu, ale duch pewnego czasu i panujące w nim idee. Gdy dążności jego utworów stanęły w poprzek prądom żywotnym społecznego życia, stracił dawny wpływ i urok. Jego utwory nie mają w sobie żywiołów stałej trwałości, ale niewątpliwa zasługa Pisiemskiego na tem polega, że w swoim czasie on pierwszy zszedł z mglistych wyżyn idealnych, a zaczął się pilniej rachować z rzeczywistością i wprowadził powieść w dziedzinę żywych walk i zagadnień społecznych.

Na grób zmarłego niedawno w Petersburgu Teodora Dostojewskiego rzucono wieńce smutnych kwiatów, przeplatanych cierniami. Życie i działalność tego potężnego pisarza nosi na sobie posępną cechę cierpień i ponurych smutków obecnej epoki. Urodzony w 1822 roku, zmuszony był w młodości pójść drogą przeciwną swym upodobaniom i ideałom. Porzuciwszy inżenierską karyerę, do której chcąc nie chcąc musiał się sposobić, rozpoczął zawód literacki od słynnej powieści *Biedni ludzie*, która odrazu wykazała jego wysoki humanitarny talent, wrażliwą, artystyczną naturę, umiejącą odczuwać nędze jednostkowe i społeczne.

W powieści tej odmalował ucisk warunków zewnętrznych, ciężących nad dolą jednostek, klęskę, której wkrótce sam miał doświadczyć. Po wyjściu tego dzieła współczesny znakomity krytyk, Bieliński tak się odezwał: „Talent p. Dostojewskiego należy do takich, które nie odrazu bywają pojęte i ocenione należycie. W czasie jego działalności wiele pojawi się talentów, które zapewne mu się przeciwstawią, ale skończy się na tem, że o nich zapomną w tej właśnie chwili, gdy on dojdzie do szczytu swojej sławy“.

Zaledwie znakomity pisarz rozpoczął swą działalność, życie jego zostało złamane ciosem, który odbił się posępnie na jego duchowej istocie i działalności literackiej. Wmięszany w sprawę Pietraszewskiego, skazany został na ciężkie roboty i przez lat dwanaście odsunięty od literatury. Powróciwszy w 1860 roku z kopalń i wygnania do Petersburga, Dostojewskij rozpoczął na nowo działalność twórczą, przesiąknięty wspomnieniami okropnej epoki swego życia. Pełen humanitarnego ducha, dawniej już zwracał swoje oko na postacie złamane życiem, które najwięcej ucierpiały od nacisku warunków społecznych.

W jego utworach zapanował odtąd pierwiastek psychiatryczny raczej, niż psychologiczny. Głęboko współczując dla niedoli, odzwierciedlał tylko objawy życia, dotkniętego cierpieniem społecznem. W *Notatkach z domu umarłych* skreślił przenikające obrazy więźniów i skazańców, w romansie *Poniżeni i znieważeni* widzimy wszystkie żywioły posępnego poglądu na warunki społeczne, z którymi autor zgodzić się nie może. Ogromnym talentem nacechowany jest utwór *Kara i przestępstwo*, będący owocem zbadania społecznego życia, a zwłaszcza wpływów uciskających i paczących ludzką naturę. W powieści tej autor znakomicie przeprowadził granicę pomiędzy posępnem zrozpaczeniem, wywołanem przez ciężkie warunki rzeczywistości a płynącą z tego samego źródła apatyą i sprytem. W *Braciach Karamazowych* spotykamy podobne żywioły. Powieść ta jest pełną „łez, któremi ziemia jest przesiąknięta od skorupy do wnętrza“, jest obrazem doli pokoleń, dźwigających całe góry dawniejszych dziejowych błędów.

Dostojewskij był nietylko poetą cierpienia, ale i myślicielem, szukającym środków rozwiązania wielu bolesnych zagadnień ludzkości. Niezależnie od głębokiej analizy charakterów, w którą obfitują oprócz już wymienionych, jego znakomite prace: *Biesy*, *Idiota* i *Podrostek* — okazywał on pewien wstręt do rzeczywistości, do życia, które wydawało mu się tylko nieznośnym ciężarem, dotkliwą męką. Nic dziwnego, że głęboko wrażliwy jego umysł przed takiemi wpływami spaczył się trochę, zajął nieprzyjazne stanowisko wobec wielu idej naszego czasu, że grzeszył wreszcie mistyczną nienawiścią do rzeczywistości. Pod względem społecznym znaczenie jego utworów jest bardzo wielkie gdyż przedstawił on bardzo a wymownie dolę jednostek wykolejonych i rzucił promienie miłości w ciemny świat więzień i skazańców, a te zasługi nawet zjednały

mu pośmiertny hołd w sferach prawniczo-sądowych.

Jego utwory stanowić będą na długie lata żywy pomnik cierpień i męk społecznych obecnej epoki, a jak słusznie powiedział jeden z celniejszych krytyków rosyjskich—imię Dostojewskiego „zajmie jedno z wybitniejszych miejsc w długim spisie męczenników rosyjskiej myśli“.

Najjaśniejszy Pan, w dowód uznania zasług zmarłego, raczył wyznaczyć pozostałej po nim wdowie 2.000 rocznej pensyi.

M. Str.

GOTTHOLD EFRAIM LESSING.

(W stuletnią rocznicę śmierci.)

Sto lat minęło przed trzema dniami od chwili, w której zagasła jedna z najpromienistszych gwiazd poezyi niemieckiej. Rocznicę tę czczą niemcy wielkiem narodowem świętem. Bo też Lessing wywarł na ich piśmiennictwo, na całe życie duchowe wpływ olbrzymi. Niezwykła odwaga, umysł rozległy i jasny, gorące uczucie, niepodległość myśli, ciągłe dążenie do prawdy, wreszcie ta potężna przyrodzona siła talentu, która mu pozwalała jak Samsonowi wstrząsać kolumnami starej świątyni — oto były przymioty, które autora *Natana* uczyniły jednym z największych wybawicieli myśli ludzkiej. Zapewnie, nie zdjął on z niej całych kajdan, ale rozbił kilka bardzo dotkliwych ogniw.

Syn biednego pastora, zmuszony własną pracą zapewnić sobie utrzymanie, Lessing nieraz staczał walkę z nędzą. Przez całe życie pozostał szermierzem postępu. Śród tych mozolnych zapasów tracił z oczu korzyść osobistą, zapatrzony w blask idei, przekonany, że słowa jego nie zginą bezpłodnie. W jednem ze swych pism powiada: „Wszystko, co się rodzi na świecie, zostawia po sobie ślady, chociaż człowiek nie zawsze je odrazu dostrzega“.

Studyując teologię na uniwersytecie w Lipsku, nie mógł Lessing stłumić w sobie gwałtownych porywów do poezyi i rzucił na papier kilka pierwszych jej próbek. Z tego również czasu, prócz tłomaczeń, pochodzi komedya *Der junge Gelehrte*, którą przedstawiono z powodzeniem. Że prace literackie zapewniały mu skromny jedynie dochód, świadczy list poety, pisany w r. 1770 do Ewy König, narzeczonej a później małżonki, w którym znajdujemy dosyć charakterystyczny ustęp: „Uczyłaś się pani pisać od kogoś, co nie potrzebował oszczędzać papieru. My jednak literaci zmuszeni jesteśmy pisać bardzo drobno, gdyż inaczej nawet koszt zużytego papieru się nie opłaca“.

Pomimo to, pomimo że stał odosobniony i nie znajdował wyznawców, nie przestawał pracować. Przewyższając współczesnych nie wynosił się nigdy po nad ich głowy. Przeciwnie, zawsze schylał w pokorze czoło przed innymi, a w *Dramaturgii* zaprzecza nawet, żeby był poetą W temże dziele powiada: „Nie jestem uczonym, nie miałem nigdy zamiaru zostać uczonym, nie chciałbym być nim nawet wówczas, gdybym mógł stać się nim we śnie“. Mówiąc to jednak, miał na myśli mądrość książkową, a nie rzeczywistą, życiową. Zresztą, w innem miejscu mówi: „Wartości człowieka nie stanowi prawda, którą posiadł lub sądzi, że posiada, ale starania, jakie czynił, aby ją posiąść“. Pomimo, że stronił od erudycyi książkowej, że badał przedewszystkiem życie wraz z wszystkimi jego tajnikami, kochał się w książkach, i wszystkie oszczędności, jakie zebrał w służbie u możnych swych protektorów, obracał na zbogacenie swego księgozbioru. Zamiłowanie to widzimy u Lessinga już w młodym bardzo wieku; na pierwszym portrecie z lat dziecięcych, stoi on wsparty na stosie foliałów.

Przeznaczony przez ojca do stanu duchownego, studyował Lessing teologię niezbyt chętnie, może dla tego, że marzył dla siebie o innej przyszłości. Później jednak, kiedy krewni poety pogodzili się z myślą, że go w sukni duchownej oglądać nie będą, kiedy umysł bardziej dojrzały uczuwał potrzebę poważniejszych badań, Lessing znowu poświęcił się teologii. Traktował ją jednak zupełnie przedmiotowo, jak każdą inną wiedzę, nie wyznając żadnego systematu. Przyjmował jednak częsty udział w walkach teologicznych, w których — rys charakterystyczny — zawsze stawał po stronie słabszej. Był przekonany bowiem, że każda rzecz ma swą dobrą i złą stronę; gdy więc wszyscy starali się wykazać ujemną, on występował jako gorliwy obrońca dodatniej. „Przeciw komu są wszyscy — mówi w jednem z dzieł swoich — ten we mnie znajdzie sprzymierzeńca“. W tym samym duchu napisał swe *Rettungen*, o których w przedmowie do wydanego w r. 1754 zbioru pism swych, powiada: „I kogóż w nich broniłem? Samych umarłych, którzy mi za to podziękować nie są w stanie. Przeciw komu? Przeciw żywym, którzy mi za to pewnie złem odpłacą“. W słowach tych widnieje nie tylko siła dyalektyki, której Lessing prawdziwym był mistrzem, ale również występuje jasno zacny charakter poety.

Lessing był przedewszystkiem dramaturgiem. Chociaż w *Laokoonie*, arcydziele krytyki artystycznej, na podstawie głębokich studyów wyłączył poezyę z grona sztuk pięknych, do których ją zaliczano poprzednio, bardziej jednak wsławił się, bez zaprzeczenia, wydaniem swej *Dramaturgii*, w której zwycięzko walczy przeciw powadze teatru francuskiego i jego wpływowi na dramat niemiecki.

Słusznie też powiedzieć można, że Lessing stworzył oryginalną scenę niemiecką. Przed tem bowiem panowała na niej wszechwładnie sztuka francuska, tamując przystęp żywiołowi swojskiemu. Dopiero tragedya Lessinga *Emilia Galotti* i dramat *Natan mędrzec* usuwać poczęły z repertoaru sceny niemieckiej utwory pisarzów francuskich i stały się pierwszym zawiązkiem teatru narodowego.

Walcząc w ciągu całego swego życia z powagami, stając zawsze w obronie słabszych i pokrzywdzonych, nie mógł Lessing stąpać po różach, i nie raz zranił go boleśnie cierń zawiści ludzkiej. Ciągły bój z niedostatkiem i przeciwnościami nie mógł również osłodzić mu życia, a liczne zawody i przeciwności nie dały mu zakosztować słodkich chwil spokoju i szczęścia. Zaledwie jasny promień ozłocił smętne dni jego życia, gasiła go dłoń nieubłaganego losu lub nienawiść ludzka.

W październiku 1776 poślubił Lessing Ewę König, kobietę, którą kochał prawdziwie. W grudniu 1777 r. urodziła mu ona dziecię, które zaraz umarło. W kilka dni potem pisał do przyjaciela: „Korzystam z chwili, kiedy żona leży bez przytomności, aby podziękować panu za współczucie, jakie raczyłeś mi okazać. Radość trwała krótko. Jakże bolała mnie śmierć syna! On był taki mądry! taki mądry! — Nie sądź pan, aby kilka godzin ojcowstwa zaślepiło mnie! O, nie, wiem, co mówię. Czyż nie okazał rozsądku, jeśli go żelaznemi kleszczami na świat wyciągać musiano? Czyż nie okazał go również tem, że skorzystał z pierwszej sposobności, aby uwolnić się od trosk żywota? Chciałem raz chociaż zakosztować szczęścia, dostępnego dla innych. Niestety, nie udało mi się“.

W styczniu 1778 r. umarła żona Lessinga. Donosząc o tem przyjacielowi swemu, pisał między innemi: „Umarła mi żona — i ten cios więc znieść muszę. Pocieszam się tem przynajmniej, że już nie wiele pozostaje mi życia — staram się być wesołym“.

Słowa te były prorocze — w trzy lata potem już nie żył.

Niema literatury w Europie, do którejby nie przeszedł. Główne jego utwory dramatyczne: *Natan i Emilia Galloti*, oraz bajki przełożone są również na język polski. Bez wątpienia, Lessing dla dzisiejszych czasów za stary, ale jest to ta miła, poważna i ujmująca starość, która jeszcze ogrzewa, jeszcze uczy, a nawet odmładza.

J. W.

BADANIA PRZYRODNICZE.

(Sztuczne indygo.)

Gdybyśmy na naukę patrzyli ze stanowiska zaściankowego, gdyby zdobycz umysłu ludzkiego o tyle nas tylko obchodziła, o ile *nam* sławę przynosi — to ostatnie ważne odkrycie na polu chemii raczej smutkiem niż radością napełnićby nas winno.

Niemiec Adolf Baeyer, wynalazłszy sposób sztucznego otrzymywania barwnika indygowego, wydarł palmę pierwszeństwa naszemu rodakowi Nenckiemu.

„Pierwszeństwa?“ Raczej tylko „wartości,“ bo pierwszeństwo otrzymania tego związku organicznego drogą syntezy, musi z samej natury rzeczy pozostać przy naszym rodaku, który bezwarunkowo pierwszy tego dzieła dokonał.

Ale trudno zaprzeczyć, iż Baeyer odkryciem swojem zepchnął na drugi plan wynik pracy Nenckiego i przyćmił go blaskiem własnej, pozostawiając mu tylko pewne znaczenie teoretyczne.

Nencki przed kilku laty, podczas doświadczeń, ku innemu celowi skierowanych, spostrzegł, że wskutek utleniania się jednego z produktów badanych reakcyj, indolu, tworzy się barwnik indygowy. Ale metoda otrzymywania indyga z indolu przez utlenianie go ozonem pozostawiała wiele do życzenia, gdyż dawała tak małą ilość barwnika, że nawet nie można jej było poddać rozbiorowi. Bądź co bądź, było to *sztuczne indygo*.

W r. 1878 Baeyerowi, już przeszło dziesięć lat nad tą kwestyą pracującemu, udało się odkryć inną metodę otrzymywania indyga, ale i ta nie dawała obfitego produktu, tak że mowy być nie mogło o zużytkowaniu odkrycia w fabrykacyi.

Dopiero w ostatnich czasach, w ostatnich dniach niemal, Baeyer wpadł na ślad sztucznego przygotowywania indyga drogą taką, która z teoretycznego punktu widzenia łączy ten barwnik, na zasadzie łatwo przebiegających syntez, z szeregiem związków dobrze poznanych, a z drugiej daje wskazówki praktykowi, jakim sposobem da się to odkrycie zużytkować w przemyśle fabrycznym.

Jak daleko kwestya ta się posunęła, najlepiej przekonywa okoliczność, że sposób Baeyera został już patentowany i dwie największe niemieckie fabryki farb odkupiły od odkrywcy tajemnicę i przystąpiły do technicznego opracowania nowego procesu. Wkrótce więc urzeczywistni się fakt, który tyle razy napróżno osiągnąć usiłowano i którego z takiem upragnieniem wyglądano: hodowla rośliny indygowej zmniejszy się do nieznacznych może rozmiarów, i tak pogardzana jeszcze niedawno smoła z węgla kamiennego obok fuksyny i t. d. dosta-

czać nam będzie najpożądańszej farby do sukien.

Baeyer w rozprawie swej o indygu sztucznem wykazuje, iż odkrycie tego związku było owocem całego szeregu systematycznych i ściśle z sobą związanych badań doświadczalnych. Na pójdziemy za nim po drodze prac przygotowawczych, lecz przystąpimy odrazu to przedmiotu.

Punktem wyjścia jest dla Baeyera kwas nitrocynamonowy $C_6H_4 < \begin{smallmatrix} CH \\ NOO. \end{smallmatrix}$ Połączywszy go z bromem, działał nań alkaliami i otrzymał kwas nitrofenilopropiolowy składu:

$$C_6H_4 < \begin{matrix} C\equiv C-CCOOH \\ NO_2. \end{matrix}$$

Kwas ten jest jednym z najbardziej zdumiewających zdolnością do różnorodnych reakcyj związków organicznych. Stanowi on ostatni szczebel w procesie otrzymywania indyga.

Działając nań alkaliami, otrzymujemy izatynę, jeśli zaś jednocześnie podziałamy alkaliami i cukrem gronowym, to tworzy się szybko i obficie—indygo. Wzór jest następujący:

$$\underset{\text{Kwas nitrofenilopropiolowy}}{C_6H_4 < \begin{matrix} C\equiv C-COOH \\ NOO \end{matrix}} = \underset{\text{kw. węglany}}{CO_2} + \underset{\text{tlen.}}{O} + \underset{\text{Indygo.}}{C_8H_5NO}$$

Oprócz cukru i alkaliów, działają w ten sam sposób i inne środki odtleniające, np. roztwór koperwasu żelaznego w kwasie siarczanym z równym skutkiem przeprowadza kwas powyższy w indygo. Ponieważ jest to środek nadzwyczaj tani, więc zapewne będzie miał wyłączne zastosowanie w przemyśle.

Jakkolwiek przebieg reakcyi jest tak prostym, to jednak w teoretycznem znaczeniu nie jest do tego stopnia jasnym, aby można było uchylić zasłonę tajników konstytucyi indyga. Baeyer na teraz zrzeka się podania formuły budowy, i odkłada ją na przyszłość, gdy będzie mógł wnioskować na zasadzie prac obecnie w biegu będących.

Podaje on jeszcze inne syntezy indyga, zbliżone w zasadzie do poprzednio wskazanej. Być może, iż będą one miały wielkie znaczenie w technice. I tak: za pomocą kwasu podchlorawego można przeprowadzić kwas nitrocynamonowy w kwas nitrofenilochloromleczny, który pod działaniem alkali przechodzi w kwas nitrofeniloxyakrylowy, ten zaś wskutek ogrzania daje indygo, według wzoru.

$$\underset{\text{kw. nitrofenil-oxyakrylowy.}}{C_9H_7NO_5} = \underset{\text{kw. węgl.}}{CO_2} + \underset{\text{woda}}{H_2O} + \underset{\text{tlen}}{O} + \underset{\text{indygo}}{C_8H_5NO.}$$

Badeńska fabryka sody i aniliny będąca pod dyrekcyą Dr. Caro zajęła się udostępnieniem tych reakcyj dla techniki. W tym względzie na pierwszym planie praktyka musi postawić staranie się o wynalezienie tańszego sposobu otrzymywania kwasu nitrocynamonowego. Dopóki tego nie osiągnie, konkurencya indyga sztucznego i naturalnego będzie niemożliwą.

Prawdopodobną jest rzeczą, iż dla celów technicznych nie będzie fabrykowanem samo indygo, lecz kwas (orto)nitrofenilopropiolowy. Ponieważ włókna bardzo łatwo ten kwas przyjmują, i można go *już na nich* przeprowadzić za pomocą środków odtleniających w indygo. technika więc otrzyma sposób t. z. *właściwego, bezpośredniego barwienia* w masie włóknistej. Jest to wzgląd niezmiernie ważny dla fabrykacyi, szczególnej w razie tworzenia rozmaitych kombinacyj barw, i być może iż wzgląd ten usunie na drugi plan kosztowność materyału, której znaczenie dla fabrykanta bardzo się zmniejszy wobec korzyści, dających się osiągnąć z „bezpośredniego barwienia“.

Z teoretycznego punktu widzenia, już nawet w obecnym stanie rzeczy rozwija się przed oczyma naszemi cała „chemia indyga i ciał z niem złączonych,“ gdyż Baeyerowi udało się otrzymać wiele produktów, podstawień i związków homologicznych. Barwnik, który dotąd zajmował w chemii miejsce zupełnie odosobnione, stał się punktem środkowym nadzwyczaj charakterystycznej i podatnej dla badania grupy związków chemicznych.

B. Rejchman.

PRASA POLSKA.

Muzeum, nowe czasopismo krakowskie, które pozyskało i u nas prawo obiegu, wbrew swemu tytułowi nie zajmuje się starożytnictwem, ale podnosi sprawy żywotne. Na czele jego czytamy szkicowy przegląd p. Merunowicza „Stan ekonomiczny Galicyi“ mający zaletę jasnego ugrupowania faktów. Najcelniejszą pracą jest to bezwątpienia, studyum d-ra Wł. Szajnochy: „Górnictwo naftowe w Galicyi wobec ustawodawstwa górniczego“. Bardzo ciekawo, jasno i gruntownie przedstawia autor smutne dzieje upadku tej gałęzi produkcyi, wykazuje, jak zpowodu fałszywych urządzeń prawno-państwowych, rokujące zrazu piękne nadzieje, popadła ona następnie w zupełną ruinę. Autor roztoczył przed oczyma naszemi smutny zaprawdę obraz niezaradności ekonomicznej, z jaką w Galicyi marnowano tyle skarbów rodzimych przyrody. Wspominając treściwie o najdawniejszych śladach dobywania nafty i wosku ziemnego, zaczyna p. Szajnocha właściwą treść swego studyum od reskryptu z d. 18 kwietnia r. 1854, który określił wydobywanie oleju ziemnego jako przemysł górniczy i otworzył nową erę dla górnictwa austryackiego. Reskrypt ten, oddzielając własność górniczą od własności ziemskiej, zmuszając w danym razie właściciela gruntu do odstąpienia przedsiębiorcy powierzchni ziemi potrzebnej do eksploatacyi za odpowiedniem wynagrodzeniem, wywołał świetny wzrost górnictwa oleju i wosku ziemnego. Ale zyski ciągnione przez przedsiębiorców zaczęły budzić zadrość właścicieli gruntu, którzy niemając kapitałów i niechcąc nic ryzykować, zaczęli na własną rękę prowadzić wydobywanie wosku i oleju ziemnego wsposób partacki, bez uwzględnienia ustawy górniczej. Aby temu kres położyć, ministerstwo z d. 16 listopada r. 1860 wydało rozporządzenie, mocą którego wydobywanie nafty niezaliczonej dotąd do żywic ziemnych poddanem zostało pod ogólną ustawę górniczą. Rozporządzenie to wywołało stałą, zaciętą i systematyczną opozycyę szlachty galicyjskiej, która nie mogła znieść ograniczenia prawa własności ziemskiej, pragnąc wyłącznie dla siebie pozyskać korzyści górnictwa „a nie mając ochoty podzielać ryzyka i niebezpieczeństwa racyonalnego górnictwa.“ W tym duchu zapadła uchwała sejmu Galicyjskiego w d. 25 kwietnia 1861 roku, w skutek której Najwyższe postanowienie z d. 22 stycznia 1862 oddało eksploatacyę nafty wyłącznie do rozporządzenia właścicieli gruntu. Od tej chwili gospodarstwo naftowe chyli się stanowczo do upadku. Prowadzone bezładnie, bez forsy kapitałów, otrzymało ono cios dotkliwy wskutek konkurencyi nafty galicyjskiej z amerykańską, która wyparła pierwszą nietylko z rynków austryackich ale nawet szkodziła jej zbytowi w Galicyi. Na fatalny ten stan zwrócono uwagę wskutek często powtarzających się wypadków w kopalniach. W d. 19 grudnia 1873 roku rząd na posiedzenie sejmowe wniósł „projekt ustawy państwowej co do „zastosowania powszechnej ustawy górniczej do minerałów żywicznych.“ Większość komisyi górnicznej wybranej w tej mierze wypracowała projekt, który w zasadzie niby przeczył myśli przewodniej projektu rządowego, ale w szczegółach przyjmował najzupełniej jego postanowienia, gdy projekt mniejszości był parafrazą dawnej piosnki nietykalności interesów właścicieli ziemskich, których oni sami wyzyskać nieumieli. Na posiedzeniu sejmowem z d. 11 stycznia 1874, pomimo świetnych mów dr. Wajgla i posła Hausnera, projekt większości komisyi upadł stanowczo. Taką jest w skąpych zarysach podana treść pierwszej części tego studyum, które ma być dopełnione projektami rozwiązania sprawy tak ważnej dla dobrobytu Galicyi.

W dziale krytycznym czasopisma znajdujemy, między innemi, cenną pracę Jarochowskiego: o „Pierwotnych dziejach Polski“ Bartoszewicza, oraz nieźle napisaną przez J. Mien'a ocenę książki p. Chmielowskiego: „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.“ Literaturę piękną bardzo dobrze reprezentuje poezya Asnyka „Pigmalion“, trochę mglisto wypowiadająca ideę posłannictwa piękna w cywilizacyi, oraz bardzo ładna nowela pani Marenné „Józwa Szymczak“ będąca cichym a rozdzierającym dramatem nędzy, poczerpniętym z życia ludu. Jak widzimy ten nowy kłos dziennikarski posiada zdrowe i posilne ziarno, życzyć tylko należy, aby na glebie galicyjskiej nie stał się uschłym kłosem ze snu Faraona.

J. K.

LIBERUM VETO.

Odpowiedź na list. — Marx i Weitling. — Cobym zrobił z nihilistą. — Spór p. Hertza z p. Dicksteinem. — P. major Klenkin. — Moja dla niego wdzięczność. — Nieznany wiersz Krasińskiego.

Pozwól mi czytelniku w tem miejscu odpisać na jeden bardzo miły liścik.

Od kółka młodzieży polskiej, kształcącej się w Cesarstwie, odebrałem długą i wyczerpującą rozprawę o najrozmaitszych przedmiotach naukowych i społecznych. Młodzi moi przyjaciele, wyrażając swoje przekonania i wątpliwości, żądają kilku objaśnień a między innemi odpowiedzi na pytanie: jak na roboty socyalistyczne w Rosyi zapatruje się sam arcykapłan socyalizmu, Karol Marx? Czy podobna, ażeby on, człowiek olbrzymiej wiedzy i krytyczności, mógł z zadowoleniem patrzeć na te straszne, a co więcej, bezpłodne ofiary młodych ludzi? Czy podobna, aby wierzył, że skutek tych ofiar odpowie ich nakładowi? Czy podobna wreszcie, ażeby on łączył się duchem z apostołami dzikich ewangelij nihilizmu? Kwestya to rzeczywiście bardzo ważna, bo takie lub inne jej rozwiązanie wskazuje, czy rewolucya socyalistyczna jest oparta na poważnej podstawie naukowej, czy też jest oderwaną od niej robotą zniszczenia.

O ile mi wiadomo, Marx, (a tem mniej Lassalle, Dühring lub Schaeffle), nie włożył swym wyznawcom sztyletu do rąk. Nadto w kwietniowym zeszycie *Wiestnika Jewropy* z roku zeszłego znajduje się opis ciekawej sceny, który uprawiacze rewolucyi socyalnej powinniby odczytać ze szczególną uwagą. W r. 1846 niejaki p. Annienkow odwiedził w Paryżu Karola Marxa i otrzymał odeń zaproszenie na naradę z Weitlingem, przywódcą znacznej partyi

robotników niemieckich. Przedmiotem tej narady miało być porozumienie się co do dalszej agitacyi. „Po wzajemnem przedstawieniu się — powiada Annienkow — siedliśmy przy małym, zielonym stoliku; na końcu jego zajął miejsce Marx z ołówkiem w ręku, pochyliwszy swoją głowę nad arkuszem papieru, gdy tymczasem nieodłączny jego towarzysz i pomocnik w propagandzie, wysoki, prosty, po angielsku sztywny i poważny Engels otworzył posiedzenie“. Jeszcze nie ukończył przemowy, gdy Marx zwrócił się do Weitlinga z zapytaniem:

„— Powiedz nam, panie Weitling, który narobiłeś tyle wrzawy w Niemczech swojemi komunistycznemi kazaniami i przyciągnąłeś do siebie tylu robotników, pozbawiwszy ich pracy i chleba—jakiemi zasadami usprawiedliwiasz pan swoją działalność rewolucyjną i socyalną i na czem myślisz ją oprzeć w przyszłości?“

Weitling tłomaczył się, że on nie stwarza nowych teoryj, lecz tylko otwiera robotnikom oczy na okropność ich położenia, radzi im nie wierzyć żadnym obietnicom pracodawców, pobudza do oporu... Marx, zsunąwszy gniewnie brwi, przerwał ten długi wywód i ostrym tonem zaczął wykazywać, że wzburzać ludność, nie dając jej żadnych trwałych, dobrze obmyślanych zasad, znaczy ją oszukiwać; że szerzenie fantastycznych nadziej wiedzie tylko cierpiących do zguby a nie do zbawienia; że zwłaszcza w Niemczech zwracanie się do robotnika bez ściśle określonej idei i pożytecznej nauki jest czczą i nieuczciwą zabawką w apostolstwo, w której natchnionego proroka słuchają osły z rozdziawioną gębą... Weitling poczerwieniał. Drżącym od wzruszenia głosem odwołał się do solidarności, do swoich zasług, wreszcie zauważył, że skromna przygotowawcza jego praca więcej pomaga ogólnej sprawie, niż krytyka i gabinetowe rozbiory doktryn zdala od cierpień narodu. Przy tych słowach wzburzony do najwyższego stopnia Marx, zerwał się z krzesła, uderzył pięścią w stół tak, że aż lampa się zachwiała, i krzyknął:

„— Nikomu jeszcze głupota nie pomogła!“

Sądzimy, że fakt ten jest dostateczną odpowiedzią na powyższe pytania, a jeżeli zachodzi jeszcze jaka wątpliwość, to tylko jedna, mianowicie: coby Marx rzekł... nihiliście? Co do mnie, skazałbym go na zamknięcie w osobnej celi przez rok i dałbym mu do przeczytania dzieła... Marxa, Lassala, Schaefflego, Dühringa i Wagnera.

Przejdźmy do spraw bieżących.

Między p. Hertzem, nauczycielem gimnazyalnym, a p. Dicksteinem, przełożonym szkoły realnej żydowskiej, wywiązała się ostra walka w *Nowinach* o to, czy owa szkoła powinna, czy nie powinna istnieć. Według p. Hertza wzbogaca ona tylko zastępy kantorowiczów i odciąga ich od szkół wspólnych, gdzie chrześcianie i żydzi mogą się poznać, upodobnić i pobratać. Według p. Dicksteina znowu zakład ten wychowuje bardzo niewielu kantorowiczów, w obecnych warunkach ciemnoty żydowskiej jest koniecznym i ze zmianą tych warunków ustąpi swą rolę instytucyom wspólnym. Obaj więc przeciwnicy zgadzają się w zasadzie na jedno, mianowicie: obaj utrzymują, że żydzi powinni się kształcić razem z chrześcianami. Idzie więc tylko o to, czy natychmiast zamknąć szkołę, której p. Dickstein jest przełożonym a p. Hertz nie jest, czy też ją utrzymać. Otóż sądzę, że pytanie to nie nadaje się do publicznej rozprawy. Bo gdyby zakład był państwowym, a my powołani do decydowania o jego losach, moglibyśmy głosować; ale ponieważ jest prywatnym i nie wykracza przeciw prawom obowiązującym, więc co najwyżej możemy tylko przemawiać do jego opiekunów i właścicieli. Jako przeciwnik hodowli żydów oświadczyłbym się za p. Hertzem, gdyby on ze swym gromem wystąpił nieco wcześniej lub nieco później, to jest przed założeniem szkoły lub po dłuższem jej istnieniu. Bo dziś jej opiekunowie mogą wszelkie zarzuty odeprzeć bardzo łatwem rozumowaniem: jeżeli szkoła nasza jest złą w zasadzie, czemużeście nie przekonali nas o tem wtedy, gdyśmy podjęli zasadę a nie założyli jeszcze szkoły; jeżeli zaś jej użyteczność ma się ujawnić dopiero w wynikach praktycznych, to pozwólcie nam więcej czasu na doświadczenie. Ponieważ zaś sam przełożony życzy swemu zakładowi jak najkrótszego życia, nie pojmujemy więc, o co p. Hertzowi idzie, zwłaszcza że prawo przymusowego kształcenia się nie zostało jeszcze ogłoszone i każdemu żydowi wolno nie uczyć się lub uczyć według woli.

Zresztą tylu mamy kandydatów do poprawy, że tymczasem możemy od nich uwolnić przewodników szkoły realnej. Przedewszystkiem zaś zwracam uwagę powszechną na p. majora Klenkina, o którym p. Michał Bohuszewicz, sędzia i poczthalter z Mławy donosi *Wiekowi* takie piękne rzeczy:

„Dnia 26 stycznia r. b. przyszedł podczas mojej nieobecności żołnierz konsystującego tu pułku kozaków i zażądał ekstra-poczty dla majora P. Klenkina; a że żądał *natychmiastowego* wyznaczenia koni, więc starszy pocztylion posłał takie, jakie były w domu. W godzinę potem pan major osobiście raczył wrócić do mojego dworku, twierdząc, że mu w drodze konie ustały. W tej właśnie chwili wróciłem do domu i, spostrzegłszy przybywającego, wyszedłem na jego spotkanie, nie wiedząc bynajmniej o co chodzi. Lecz cóż spostrzegam? Oto za p. majorem wchodzi czterech kozaków z nahajami i p. major (znający mnie osobiście), przy najprzeraźliwszych wykrzykiwaniach zapowiedział, „że nahaje na poczthaltera są przygotowane“. Przypomniałem mu, że swojem postępowaniem plami mundur, gdyż, jakby się zdawało, p. major powinien należeć do klasy wykształceńszej; na nic się to nie przydało, a upokarzająca konwersacya wzmagała się.

Ażeby się co prędzej pozbyć napastnika i uwolnić od myśli dostania kozackimi batami, nie zważając na mróz siarczysty, bez okrycia i bez czapki pobiegłem do stajni, aby zadysponować inne konie. Przybyły za mną do stajni p. major z kozakami nie zgodził się ani na inne konie, ani też na proponowane przezemnie wynajęcie prywatnych, i czem się — myśląc ciągle o batach kozackich, — chciałem mu przysłużyć.

Widząc, że niema z tym panem żadnej rady i że coraz bardziej się zapala, zacząłem rejterować, ale p. major kazał kozakom-żołnierzom zatrzymać mię i do urzędu pocztowego zaprowadzić. Ci jednakże, ludzie prości, nie zważając na to, że sami mogą dostać od tak absolutnego pana baty, okazali się więcej ucywilizowanymi — rozkazu nie wykonali. Wszakże uznałem za dogodniejsze zamknąć się w pokoju, a p. major, pobudzony dobrym przykładem swoich podwładnych, kazał konie zaprządz i, dzięki Bogu, odjechał.

Taki to bywa los mieszkańców prowincyi.

Otóż, na zakończenie tego dramatu, natychmiast podałem prośbę o uwolnienie mię od zaszczytnej godności poczthaltera, o co już niejednokrotnie prosiłem“.

A jednakże, chociażby p. Bohuszewicz miał się zdziwić, wyznam, że gdybym spotkał p. majora Klenkina, uścisnąłbym mu serdecznie rękę i powiedział: dziękuję, stokroć dziękuję panu majorowi, żeś nastraszył tego poczthaltera, bo z jego *liberum veto* w *Wieku* przekonałem się, że nam wolno w pismach założyć apelacyę od podobnego postępowania.

Daleko mniejszą wdzięczność czuję dla „jednego z prenumeratorów *Wieku*“, który redakcyi tego pisma przesłał „nieznany wiersz Zygmunta hr. Krasińskiego“, napisany „przed 30 laty dla panny R. Z. późniejszej hrabiny B.“ Wiersz ten jako „listek bogacący spuściznę po naszych wieszczach“ wyciąłem sobie z Nr. 292 *Wieku* i dokleiłem do dzieł autora *Przedświtu*. Aż o to wpadają mi w ręce *Poezye* Antoniego Sowy (E. Żeligowskiego), wydane w Petersburgu 1858, w których na str. 65 znajduję ten sam „listek“, w połowie jednobrzmiący, a w zakończeniu zmieniony. Wobec tego faktu wartoby wiedzieć, skąd „jeden z prenumeratorów“ *Wieku* wiersz ów wziął i na jakiej zasadzie przypisał go Zygmuntowi Krasińskiemu? Jeżeli zaś jest to albo mistyfikacya albo nieostrożne zawierzenie jakiemuś domowemu albumowi, w którem utwór ten pod niewłaściwem imieniem spoczywał, lepiejby zbieracze „listków“ zrobili, nie wzbogacając nimi literatury. Inaczej redaktorzy będą chyba musieli wyuczyć się całej na pamięć dla skontrolowania „spuścizn nieznanych“. A w naszej prasie wypadki zdarzają się często. Niedawno jeden z kuryerów ogłosił również przez „jednego z prenumeratorów przysłany i nigdzie niedrukowany“ wiersz Słowackiego *Do Laury*. Wiersz ten był rzeczywiście nieznany... redakcyi, ale wydrukowany w zbiorze pism Słowackiego i osobno aż kilka razy.

Poseł Prawdy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 17 lutego.

Bomba wyrzucona z dziennikarskiej armaty ks. Bismarka na Gambettę, wprowadzającego nawę Francyi na prąd wojenny, spowodowała dużo wrażenia w Europie. Sama jednak *Norddeutsche Allgemeine Zeit.* w następnym zaraz artykule osłabiła alarm spaleniem kadzidła na cześć pokojowego usposobienia rządu i narodu francuskiego. Różnie tłomaczono sobie ten atak na głowę republikanów francuskich. Nie brakło i takich, którzy sądzili, iż najbliższym celem alarmu było tylko wpłynięcie na sejm, aby pod strachem wojny francuskiej przyzwolił na zakup przez rząd kolei nadreńskiej; ogólne jednak głosi zdanie, iż ks. Bismark probuje wpływać na opinię publiczną francuską, po której snać spodziewał się, że istotnie wojny się obawia, a przeto możeby i zepchnęła z wysokości tego człowieka, który „reprezentuje w sobie ideę odwetu.“ Wobec zbliżających się wyborów we Francyi, byłaby po temu chwila bardzo sprzyjająca, gdyby tylko — zechciano tam usłuchać przyjacielskich rad kanclerza Niemiec. W rezultacie jednak okazało się, że dobrowolnie urzędowa i natchniona *Norddeutsche Allg. Zeit.* strzela niefortunne jałt. Artykuły jej przeciw Gambecie zrobiły wszędzie bardzo niekorzystne wrażenie. Nawet austryacka prasa, sprzymierzona zawsze z polityką Bismarka, stanowczo potępiła napaść na Gambettę; organa prezesa Izby francuskiej pominęły ją całkiem milczeniem, a reakcyjne dzienniki z oburzeniem odparły pokusę niemiecką do wyzyskiwania różnic w poglądach stronnictw Francyi.

Gdyby nie ten epizod dyplomatyczno-polemiczny, materyał do sprawozdania dzisiejszego byłby bardzo szczupły. Jedynym domagającym się zaznaczenia faktem jest jeszcze otwarcie nowej (ostatniej) sesyi parlamentu cesarstwa niemieckiego, dokonane d. 15 b. m. Mowa cesarza Wilhelma, odczytana jak zwykle przez wice-kan-

clerza, wyróżnia się tym razem cokolwiek od swoich poprzedniczek ustępem poświęconym polityce zagranicznej. Powiedziano tam, że stosunki cesarstwa do wszystkich państw są dobre i przyjacielskie, a wszczególności odpowiadają całkiem przyjaźni, jaka łączy cesarza z panującymi sąsiednich wielkich mocarstw. (A więc francuska rzeczpospolita do tych szczególnych przyjaciół nie jest zaliczoną). Ponieważ wszystkie państwa życzą sobie utrzymania pokoju, a nawet odnośnie do środków mających ten pokój zapewnić, nie ma pomiędzy niemi zasadniczych różnic, przeto cesarz ma nadzieję, że mocarstwom powiedzie się zapobiedz nawet częściowemu zakłóceniu pokoju, a w każdym razie ograniczyć to zakłócenie tak, że ono nie dotknie ani Niemiec, ani ich sąsiadów. Z tego ostatniego ustępu wynika dość wyraźnie przypuszczenie, że zatarg turecko-grecki sprowadzi wojnę, którą jednak dyplomacya będzie usiłowała umiejscowić. Tak zrozumiano słowa mowy tronowej na giełdzie berlińskiej, gdzie wywarły one wpływ pognębiający na spekulacyę. W zakresie spraw wewnętrznych mowa zapowiada między innemi dalszy ciąg reform finansowych, ponowny wniosek zaprowadzenia dwuletnich okresów budżetowych i projekt do prawa o zabespieczeniu bytu robotników uniezdolnionych do pracy, mający być początkiem „pozytywnego" przeciwdziałania socyalizmowi. *S. S.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Międzynarodowa wystawa fotograficzna otwartą została w d. 12 b. m. w Wiedniu, w salach Muzeum austryackiego.

Stowarzyszenia. W Akademii umiejętności odbyło się w d. 8 b. m. posiedzenie Wydziału filologicznego pod przewodnictwem d-ra Karola Estrajchera; sekretarz, dr. Szujski przedstawił wydziałowi nadesłaną przez ks. Piotrowicza z Sandomierza pracę p. t. *Dyalog o Oleśnickim*, napisany wierszem w XV wieku po śmierci kardynała Zbigniewa Oleśnickiego. Dyalog ten pomieszczony będzie w drugim tomie archiwum komisyi literackiej. Na temże posiedzeniu przedstawiono wydziałowi prace d-ra Antoniego Kalinki: *O języku cyganów słowiańskich*, i Antoniego Bronikowskiego przekład *Rzeczypospolitej* Platona.

— Ze sprawozdania o działalności Towarzystwa tatrzańskiego za rok ubiegły dowiadujemy się, iż liczyło ono ogólem 1,670 członków. Towarzystwo to rozwijało nader pożyteczną dla kraju działalność; między innemi założyło w roku ubiegłym wylęgarnie w celu zarybienia stawów tatrzańskich, utrzymywało w górach 14 stacyj meteorologicznych, dokonało wreszcie pomiaru Pięciu Stawów i budowało kilka schronień na wyżynach Tatrów.

— W Krakowie odbyło się w tych dniach walne zgromadzenie ogólne członków stowarzyszenia ku wspieraniu ubogich uczniów szkół krakowskich. Przewodniczył zgromadzeniu prezes stowarzyszenia prof. dr. Fryderyk Zoll.

— Koło polskie w Pradze czeskiej urządziło w d. 13 b. m., ku uczczeniu pamięci Zygmunta Krasińskiego, wieczór muzykalno-deklamacyjny w sali Umeleckiej Besedy.

Literatura polska. *Księgi Stad*, ułożonej przez Juliana Sypniewskiego i F. O. Wilkońskiego, wyszła część trzecia.

— Firma Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie wydała nową powieść Jana Zacharyasiewicza p. t. *Teorya pana Filipa*.

— Taż firma puściła w świat powieść Zorjana p. t. *Romans z aktorką*.

— Tom 85 *Biblioteki najnowszych utworów literatury europejskiej* opuścił prasę i zawiera: dalszy ciąg *Komedyi ludzkiej* Honoryusza Balzaka; *Pieśń o Niebelungach*, w przekładzie A. I. Szabrańskiego; *Komedye wybrane* Lope de Vegi, w przekładzie J. A. Święcickiego.

Literatura francuska. Ernest Bose: *Dictionnaire général de l' archeologie et des antiquités chez tous les peuples* (Paryż). Liczne drzeworyty, umieszczone w tekście, podnoszą niemało wartość tego dzieła.

— Taine ukończył tom trzeci dzieła swego o pierwszej rewolucyi francuskiej, zatytułowany *La Conquête Jacobine*.

— F. Laurent: *Le droit civil international*.

— Nakładem Michaelisa w Paryżu wychodzi dzieło niepospolitej wartości dla znawców i lubowników muzyki p.t. *Chefs-d' oeuvres classiques de l' Opéra française depuis sa fondation en 1671; partition chant et piano.* Dzieło to wydawane jest przez oddzielny komitet, na czele którego stoją takie powagi muzyczne, jak Ambroży Thomas, Gounod, Wiktor Massé, Massenet, Reyer i Vaucorbeil.

Literatura niemiecka. Nakładem O. Wiganda w Lipsku wyszła ciekawa praca Ottona Henne-Am Rhyn'a p. t. *Das Jenseits. Kulturgeschichtliche Darstellung der Ansichten über Schöpfung und Weltuntergang, die andere Welt und das Geisterreich.*

— Firma Levy et Müller w Stuttgarcie puściła w świat ostatnie zeszyty dzieła Ludwika Salomona p. t. *Geschichte der deutschen Nationalliteratur des neunzehnten Jahrhunderts.*

— Dr. Piotr Norrenberg wydał nakładem A. Russella w Münsterze pierwszy zeszyt swej *Allgemeine Literaturgeschichte.*

— Instytut bibliograficzny w Lipsku wydał 6 zeszytów dopełnienia za rok 1880—1881 do znanego *Conversations-Lexicon* Meyera.

Literatura czeska. W Pradze czeskiej wyszedł niedawno pierwszy tom dzieła Franciszka Szemberga p. t. *Dzieje średniowieczne od końca piątego aż do końca piętnastego stulecia.* Tom pierwszy obejmuje dzieje powszechne do czasu Karola Wielkiego.

— Trzeci tom *Biblioteki politycznej czeskiej*, wydawanej przez Klub czeski w celu rozwinięcia narodu w kierunku politycznym, zawiera rozprawę d-ra Jana Palackiego *O samorządzie angielskim.* W dwu pierwszych tomach tego wydawnictwa pomieszczono pracę Jakóba Malego p. t. *Nasze odrodzenie, przegląd życia narodowego czeskiego w ostatniem półstuleciu.*

Literatura chorwacka. Zasłużony literat chorwacki, Mijat Stojanowicz, puszcza dzieło drogą prenumeraty p. t. *Nacrt Hika iz sżorta naszega hroatskoga naroda po Slavoniji i Srieum* (Obrazy z życia naszego ludu chorwackiego w Slavonii i Szremie). Za dzieło to otrzymał on w r. 1878 nagrodę z funduszu hr. Jana Nep. Draszkowica, istniejącego przy Maticy.

— W Zagrzebiu Klub inżenierów i budowniczych chorwackich utworzył osobny komitet celem wydania słownika chorwackiego wyrazów technicznych. Na czele komitetu stanął inżenier I. Altman.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły następujące obrazy: Maleckiego Władysława *Konwój taboru;* Könholtz Juliusza *Krajobraz;* Pani Nadziei *Pane Ponte dei Sospiri w Wenecyi;* Strzałeckiego Wandalina 3 obrazy: *Polowanie z sokolem, Na wojnę, Posłaniec;* Karpow Wasila *Zatoka rzeki Dońca, Góra Aju-Day, Galerya klasztoru św. Onufrego.*

Muzyka. W operze komicznej paryskiej wystawiono z wielkiem powodzeniem pośmiertną operę fantastyczną Offenbacha p. t. *Les contes d' Hoffman.*

— W paryskim teatrze Châtelet wykonano poemat symfoniczny *La tempete*, z muzyką Alfonsa Duvernoya. Dzieło to uwieńczone zostało na konkursie miasta Paryża pierwszą nagrodą 10,000 fr.

— Jules Massenet, twórca głośnej opery *Król Lahory*, napisał operę p. t. *Cierpienia młodego Werthera*, według znanego utworu Goethego.

Teatr. Na scenie Teatru małego wznowiono dwie komedye tłomaczone z francuskiego a mianowicie: *Koniec dzieło chwali* i *Mąż za drzwiami.*

— W teatrze poznańskim wystawiono komedyę Mozera p. t. *Spirytyści.*

— Na scenie krakowskiej wystawiono oryginalną sztukę I. Klimaszewskiego p. t. *Argonauci.*

— Na sceny niemieckie weszła *Nora* Henryka Ibsena.

— W berlińskim teatrze narodowym przedstawiono świeżo najnowszy dramat Bret Harta, słynnego nowelisty amerykańskiego, p. t. *Syn marnotrawny.*

— Alfred Tennyson napisał tragedyę p. t. *Puhar*, która ukaże się na jednej ze scen londyńskich.

Nekrologia. *Tomasz Carlyle*, słynny uczony angielski, zmarł w d. 5 b. m. w fermie swej pod Londynem. Szczegółowsze o nim wspomnienie pomieścimy w przyszłym numerze *Prawdy.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. N. F. w Milejowie. Dopóki stosunki będą tak jak dziś naprężone, nawet uderzenie w strunę miłosierdzia wydobyłoby dźwięk zgrzytliwy. Jest to fatalna konieczność, której wystąpienie Pańskie nie zdołałoby zmienić. To też nie podejmujemy trudu daremnego.

Ks. Leonowi B. z Gierczyć. Spór między nami byłby sporem ptaka z rybą o to, czy należy pływać w wodzie i milczeć, czy latać w powietrzu i śpiewać. Należymy do odmiennych rzędów ludzkich, posiadamy odmienny ustrój umysłowy — ztąd różnica, a nie ztąd, że my przymrużyliśmy jedno oko, a Pan obydwoma patrzysz. Jeśli Pan chcesz czytywać nasze pismo, musisz zgodzić się na jego stanowisko. Zamiast łudzić—uprzedzamy.

P. Rudn. w Trylisach. Dotąd nie wyszedł.

P. St. Michn. w Petersburgu. Dziękujemy Panom za życzliwe wyrazy. Sprawia to nam zawsze głęboką przyjemność, gdy znajdujemy oddźwięk w sercach i umysłach młodzieży polskiej, która kocha swój kraj i czci prawdę.

Byłemu uczniowi suw. gimn. A jakimże sposobem możemy uwiadomić księdza prefekta suwalskiego o tym przepisie, jeśli pisma naszego nie czyta? Jeśli zaś czyta, to się dowiedział.

P. B. C. Jeśli Pan cenisz więcej prawdę niż względy obrażonej damy, to zostań przy dotychczasowej niewierze w kobiety jasnowidzące.

Sprostowanie. W N. 6 *Prawdy* na ostatniej stronie w „Kronice bieżącej" wydrukowano 2 razy nazwisko „Krysińskiego" zam. Kryńskiego.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Февраля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.